

magazyn REJSY *razem z dodatkami*

O Junaku, który pobił rekord. Historia tego motocykla łączy całe Wybrzeże...

● Produkowany był w Szczecinie, ale rekord prędkości ustanowiono między Malborkiem a Tczewem

PLUS TELEMAGAZYN z programem TV oraz zapowiedziami najciekawszych programów



Dziennik Bałtycki

Piątek
17.05.2024

www.dziennikbaltycki.pl

Nr 114 (24 172) // Rok 79
Cena 5,50 zł (w tym 8% VAT)

Wystawa na 100-lecie polskiego żeglarstwa. Byliśmy na niej i mamy swoją opinię **str. 6-7**



Krzysztof Babicki nagrodzony za całokształt twórczości **str. 17-18**

Gedanopedia do renowacji. Internetowa baza wiedzy o Gdańsku ma dziesięć lat **str. 18**



FOT. PRZEMEK SWIDERSKI

Magazyn Puls

George Weigel: Jan Paweł II nie zajmował się politycznymi knowaniami **str. 20-21**

POLITYKA

Komentuje Vincent V. Severski

- Parlament Europejski to jest priorytetowe zadanie dla rosyjskiego i białoruskiego wywiadu w całej Europie. Chodzi o to, aby wprowadzić do Euro-parlamentu jak najwięcej „swoich”, to jest dzisiaj ważne.

Oczywiście są zadania stałe, takie jak kształtowanie polityki wewnętrznej w innych krajach - mówi Vincent V. Severski, pisarz, były funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa, Urzędu Ochrony Państwa i Agencji Wywiadu *Czytaj str. 22-23*

ROZMOWA

Nadchodzi wielka reforma ortografii

Rozmawiamy z prof. Katarzyną Kłosińską o zapowiedzianych przez Radę Języka Polskiego zmianie w pisowni niektórych wyrazów i zwrotów.

- Nie zrezygnujemy z „ó” czy „rz” - uspokaja nasza rozmówczyni. *Czytaj str. 2*

BEZPIECZEŃSTWO JAK DZIAŁAJĄ AGENCI I JAK POLSKA MOŻE SIĘ PRZED NIMI BRONIĆ?

Rosyjska agentura już działa w Polsce



FOT. PAP/LESZEK SZYMANSKI

Na terenie naszego kraju może być około tysiąca członków rosyjskich, zakamuflowanych grup rozpoznawczo-dywersyjnych, chcących atakować naszą infrastrukturę krytyczną, w tym porty - uważa kpt. rez. Maciej Lisowski. Dodajmy, że w niedawnej wypowiedzi premiera pojawiła się kwestia pożaru hali przy ul. Marywilskiej w Warszawie i udaremnienia kilkunastu prób podpaleń i aktów dywersji... **str. 4-5**

Nr ISSN 2353-6160

Nr indeksu 350-028



TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

SOBOTA ● Będzie się działo, czyli premiery i zapowiedzi	PONIEDZIAŁEK ● Najważniejsze informacje sportowe z weekendu	WTOREK ● Strefa biznesu – informacje i analizy gospodarcze	ŚRODA ● Porady zdrowotne – medycyna, psychologia	CZWARTEK ● Coś dla miłośników historii kryminalnych...	PIĄTEK ● Cotygodniowe wydanie magazynu Puls
---	---	--	--	--	---

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 58 728 08 17 lub prenumerata@prasa.gda.pl, prenumerata@dziennikbaltycki.pl

Nadchodzi wielka reforma ortografii. Nie zrezygnujemy z „ó” czy „rz”

Patryk Osadnik (PAP)
Rozmowa

z prof. Katarzyną Kłosińską, przewodniczącą Rady Języka Polskiego (RJP).

RJP uchwaliła zmiany zasad ortografii. W komunikacie przedstawiono jedenaście punktów, które zaczną obowiązywać 1 stycznia 2026 r. Dotyczą one m.in. pisowni nazw mieszkańców miast wielką literą (np. Warszawiak zamiast warszawiak), wprowadzenia rozdzielnej pisowni cząstek -bym, -byś, -by, -byśmy, -byście ze spójnikami (np. Zastanawiam się, czy by nie pojechać w góry), a także ujednolicenia zapisu dużą literą nazw obiektów przestrzeni publicznej (np. Osiedle Tysiąclecia, Plac Zbawiciela, Kopiec Wandy) z utrzymaniem pisowni wyrazu „ulica” małą literą (np. ulica Adama Mickiewicza). Wprowadzono pisownię wielką literą nie tylko nazw firm i marek wyrobów przemysłowych, ale także pojedynczych egzemplarzy tych wyrobów (samochód marki Ford i pod oknem zaparkował czerwony Ford), będzie obowiązywała pisownia wielką literą wszystkich członów wielowyrzowych nazw geograficznych i miejscowych, których drugi człon jest rzeczownikiem w mianowniku, typu Morze Marmara, Pustynia Gobi, Półwysep Hel, Wyspa Uznam. Wielką literą będziemy pisali literą wszystkie członowy (oprócz przyimków i spójników) w wielowyrzowych nazwach lokali usługowych i gastronomicznych, np. Karczma Słupska, Kawiarnia Literacka, Księgarnia Naukowa, Kino Charlie, Apteka pod Orłem, Bar Flisak, Hotel pod Różą, Hotel Campanile, Restauracja pod Żaglami, Winiarnia Bachus, Zajazd u Kmicica, Pierogarnia Krakowiacy, Pizzeria Napoli, Trattoria Santa Lucia, Restauracja Veganic, Teatr Rozmaitości, Teatr Wielki.

Z czego wynika potrzeba wprowadzania zmian w ortografii? Zmiany, o których zdecydowała RJP, nie dotyczą usunięcia „ch”, „ó” i „rz”, lecz pisowni łącznej, rozłącznej i z łącznikiem oraz małą i wielką literą. Wynikają one z potrzeby ujednolicenia lub uproszczenia zasad, a czasami wręcz usankcjonowania



Katarzyna Kłosińska: - Zmiany wynikają z potrzeby ujednolicenia lub uproszczenia zasad, a czasami wręcz usankcjonowania tego, co jest już w użyciu.

tęgo, co jest już w użyciu. Kto pamięta, że „rachuciachu” piszemy z łącznikiem, a „baju, baju” z przecinkiem (lub bez żadnego znaku: „baju baju”)? Nie rządzi tym w zasadzie żadna reguła. Uchwała RJP ujednolica zapis takich połączeń. Dla wielu użytkowników niejasne jest też na przykład rozróżnienie między czasownikiem a przymiotnikiem, dlatego pisownia „nie” z takimi formami była kłopotliwa („uczeń nie klasyfikowany” czy „uczeń nieklasyfikowany”). Różnica pomiędzy nimi bywa bardzo płynna. Dlatego w 1997 r. rada wprowadziła możliwość pisowni łącznej, a obecnie poszła całkowicie ujednoliciła takie zapisy (wszystko będzie się pisać łącznie). Reguła o pisowni „pół” jest mało znana (a na pewno rzadko przestrzegana) - rzadko widzimy formy „półleżąc” i „półleżąc, półsiedząc”. Reforma to ujednolica.

Jak często Rada Języka Polskiego decyduje o takich zmianach?

Ostatnia duża zmiana ortograficzna została wprowadzona w 1936 r., tak że niezbyt często.

Jedenaście zmian po 88 latach. Wydaje się, że niewiele.

W RJP zasiadają badacze, którzy ortografią zajmują się od lat i wiedzą, jaki jest uzus. Czytamy w komentarzach pod artyku-

łami, że to psucie języka, i odnośzę wrażenie, że spora część osób, która o tym pisze, w ogóle nie zapoznała się ze zmianami, tylko ogranicza się do lektury klikbajtowych nagłówków. Czytam, że zmieniliśmy „naprawdę” na „na prawdę” i „na pewno” na „napewno” i nie mogę uwierzyć własnym oczom. A przecież wystarczy zajrzeć do źródła, czyli do komunikatu RJP.

W komunikacie Rady Języka Polskiego czytamy o uproszczeniu niektórych zasad pisowni. Czy takie upraszczanie ma swoje granice? Np. czy zrezygnujemy kiedyś z „ó” i zostawimy samo „u”?

Nigdy nie zrezygnujemy z „ó” czy „rz”. Pisownia tych znaków uwarunkowana jest systemem języka i gdyby ją zmienić, straciłabyśmy poczucie spójności języka. Inaczej mówiąc - gdybyśmy mieli zapisywać „kruwka”, to nie zauważalibyśmy związku tego słowa z „krową”; forma „aktożyna” nie „podpowiadałaby”, że chodzi o marnego aktora (bo nie byłoby wymiany „rz” : „r”); zapis „muha” nie miałby związku z „muszką” itd.

Dlaczego warszawiak stanie się Warszawiakiem przez wielkie „W”?

Zawsze tłumaczyłam studentom, że nazwy mieszkańców terenów od regionu „w górę” zapisujemy wielką literą (np. Ślązak), a tych „poniżej” - małą.

Ten podział nie ma najmniejszego uzasadnienia.

Co z ludźmi, którzy nie przywykną, nie będą chcieli się stosować lub nie dowiedzą się o zmianach. Będą popełniali błędy?

A czy obecnie za popełnianie błędów ortograficznych grożą jakieś konsekwencje? Oczywiście, można dostać niższą ocenę ze sprawdzianu, ale ludziom, którzy piszą niepoprawnie, nie dzieje się żadna krzywda. To oczywiście kwestia świadomości językowej i indywidualnej postawy wobec języka. Pół żartem, pół serio najpoważniejsza konsekwencja to bycie napiętnowanym przez tzw. gramatycznych nazistów, ale można z tym żyć.

WRJP nie było jednomyślności w sprawie zmian.

Było raptem kilka głosów odrębnych, ale zdecydowana większość poparła zmiany.

Czy będą kolejne zmiany?

Nie, dalszych zmian nie będzie. Nie można wprowadzać ich na raty, bo to wprowadziłoby chaos. Od ostatnich zmian minęło 88 lat, więc jestem w stanie wyobrazić sobie, że kolejne nie nastąpią za życia członków obecnej RJP.

Rozstrzygnięcie RJP będzie wiążące np. dla autorów podręczników?

Zgodnie z ustawą o języku polskim RJP jest instytucją, która kodyfikuje ortografię i interpunkcję. Dlatego ogłosiliśmy tę decyzję półtora roku wcześniej, aby wydawnictwa i komisje egzaminacyjne mogły się do tego przygotować. Tego nie da się zrobić w ciągu kilku dni lub miesięcy.

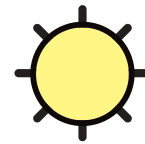
A czy RJP Polskiego podejmie wiążącą decyzję w sprawie feminatywów?

Rada Języka Polskiego dwukrotnie zabierała głos w tej sprawie. Ostatnie stanowisko wydano w listopadzie 2019 r. Co znaczy „wiążąca decyzja”? Rada jest organem opiniodawczo-doradczym, nie nakazów ani zakazów. Jedynymi obszarami, które podlegają ścisłej kodyfikacji, są ortografia i interpunkcja, a także nazwy geograficzne.

POGODA NA WEEKEND

Piątek

22°C
10°C



Wiatr
wsch., 24 km/h

Uwaga
Słonecznie

Sobota

23°C
12°C



Wiatr
wsch., 17 km/h

Uwaga
Przeważnie słonecznie

Niedziea

24°C
12°C



Wiatr
wsch., 17 km/h

Uwaga
Przelotne opady

WAŻNE TELEFONY

800 190 590

- numer infolinii NFZ
dotyczącej postępowania w sytuacji
podejrzenia zakażenia koronawirusem

605 602 195

- telefon alarmowy WSSE: służy do powiadamiania
o nagłych sytuacjach zagrożenia
sanitarno-epidemiologicznego

58 77 63 444

- infolinia w sprawie koronawirusa,
czynna w dni powszednie
od godz. 7.00 do godz. 15.00

KURSY WALUT

16.05.2024

Kupno/sprzedaż walut Kantor Green, tel. 58 346 02 48,
Wrzeszcz przy Manhattan, Dmowskiego,
Grunwaldzka, Morena Carrefour, Rumia Auchan

EUR	424/432 (+)	Kantor Max, Gdańsk, ul. Jagiellońska	EUR	424/432 (+)
USD	388/397 (-)		USD	388/397 (-)
GBP	493/500 (+)		GBP	493/500 (+)
CHF	430/441 (-)		CHF	430/441 (-)

(+) wzrost ceny w stosunku do notowania poprzedniego, (-) spadek ceny w stosunku do notowania poprzedniego, (o) bez zmian

DYŻURNY „DZIENNIKA BAŁTYCKIEGO”

Pracuję w dziale wydarzeń „Dziennika Bałtyckiego” i czekam na Państwa listy pod adresem:
lukasz.kamasz
@polskapress.pl

Łukasz
Kamasz



POLSKA i ŚWIAT

W Sejmie o aborcji. Politycy wysłuchali głosów obywateli

oprac. Anna Nagel
Warszawa

Ponad 300 osób i 30 organizacji wzięło udział w wysłuchaniu publicznym czterech projektów ustaw o przerywaniu ciąży.

Wysłuchanie publiczne zaplanowano na godz. 10 rano, ale rozpoczęło się ono z 20-minutowym opóźnieniem spowodowanym długą kolejką w biurze przepustek do Sejmu.

Organizacje miały po cztery minuty na przedstawienie stanowiska. Na wypowiedzi indywidualne przewidziano po dwie minuty. Uczestnicy zabierali głos w kolejności złożenia zgłoszenia.

„Wyrok Trybunału Konstytucyjnego ws. aborcji nie był wyrokiem kilkorga sędziów, ale realizacją postulatów miliona Polaków, którzy podpisali inicjatywę „Zatrzymaj aborcję” - powiedziała

Kaja Godek z Fundacji Życie i Rodzina, która wypowiadała się jako pierwsza.

„Precz z aborcją - to stanowisko wybrzmiało dziś szczególnie głośno, ponieważ obrońców życia jest tu trzy razy więcej niż zwolenników mordowania dzieci” - podkreśliła Godek. Złożone projekty dotyczące aborcji nazwała projektami o masowym ludobójstwie na Polakach.

Godek podczas wysłuchania publicznego zgłosiła trzy wnioski: o dołączenie obrońców życia na stałe do prac komisji, o zasięgnięcie opinii pięciu autorytetów z dziedziny prawa konstytucyjnego na temat niezgodności projektów z konstytucją, o przedstawienie opinii publicznej szczegółowych skutków finansowych wprowadzenia tych projektów.

„Po 31 latach zakazu domagamy się przywrócenia prawa do aborcji. Do tej pory żaden parlament nie słuchał kobiet - po-

TALLIN

Zdecydowaną większością głosów estoński parlament przegłosował ustawę umożliwiającą wykorzystanie rosyjskich aktywów - zamrożonych na mocy międzynarodowych sankcji - na pokrycie szkód wojennych Ukrainy. Przewodniczący parlamentarnej komisji konstytucyjnej Hendrik Johannes Terras przyznał, że przygotowanie odpowiednich przepisów było „wyzwaniem” i zajęło ponad pół roku.

„*Jesteśmy w tej kwestii w czołówce i zrobiliśmy duży krok, za którym reszta Europy może podążać*

Margus Tsahkna minister spraw zagranicznych Estonii



FOT. PAP/RADEK PIETRUSZKA

Posłowie mogą skorzystać z uwag zgłoszonych w wysłuchaniu, ale nie mają takiego obowiązku

wiedziała z kolei Anna Tomaszewska, która zabrała głos w imieniu organizacji Akcja Demokracja.

„Aborcja to powszechne doświadczenie. Według badań jedna na trzy Polki miała aborcję. Od władzy domagamy się two-

żenia prawa odpowiedzialnego i odpowiadającego na rzeczywiste potrzeby społeczeństwa, takiego, które nie skazuje osoby w ciąży na ryzyko utraty zdrowia i życia lub na psychiczne cierpienie, które nie pogłębia nierówności społecznych i nie wyklucza

z powodów społeczno-ekonomicznych, szanowania decyzji osób w sprawach osobistego życia i ich rodzin” - mówiła Tomaszewska, która cytowała także wypowiedzi kobiet popierających prawo do aborcji.

Zgodnie z Regulaminem Sejmu RP wysłuchanie publiczne odbywa się przed rozpoczęciem szczegółowego rozpatrywania projektu. Komisja może skorzystać w dalszych pracach z uwag zgłoszonych w wysłuchaniu, ale nie ma takiego obowiązku. Kolejne posiedzenie planowane jest jeszcze w maju. Prace w komisji nad projektami mają potrwać do jesieni.

„To, że do wysłuchania zgłosiło się tak wiele organizacji i osób pokazuje, że zainteresowanie tematem jest olbrzymie. Debata o legalnej aborcji trwa od 30 lat, a bardzo zintensyfikowała się po wyroku Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłęb-

skiej. Tysiące kobiet protestowały przeciwko temu na ulicach. Z drugiej strony wciąż widzimy skandaliczne furgonetki, które jeżdżą po naszych miastach, pokazując rozerwane płody. Ta sytuacja wymaga pilnego unormowania. Chcemy być europejskim państwem również pod kątem respektowania praw kobiet” - mówiła w czwartek przewodnicząca sejmowej komisji ds. projektów ustaw aborcyjnych Dorota Łoboda.

Obowiązujące w Polsce od 1993 r. przepisy antyaborcyjne zostały zmienione po wyroku Trybunału Konstytucyjnego z października 2020 r.

Wcześniej właściwa ustawa, zwana kompromisem aborcyjnym, zezwalała na dokonanie aborcji także w przypadku ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu. PAP

MATERIAL INFORMACYJNY PARLAMENTU EUROPEJSKIEGO

0111052717

Gdzie na weekend? Ciekawe miejsca w Polsce, które warto odwiedzić w tym sezonie

Szukacie pomysłu, gdzie wybrać się na weekend? Uwaga, że Polska nie ma przed Wami tajemnic, bo zwiedzić ją lata temu wzdłuż i wszerz? Uwierzyć nam, niektóre miejsca zasługują na to, aby zobaczyć je ponownie. Dzięki wsparciu Unii Europejskiej wiele zabytków zostało zrewitalizowanych. Posażono również nowe atrakcje oraz poprawiono infrastrukturę. Dokąd zatem warto wybrać się wybrać w podróż po Polsce?

Wielkimi krokami zbliżają się wybory do Parlamentu Europejskiego. U nas odbędą się 9 czerwca. Zanim pójdziecie do urn, warto zastanowić się, jak nasz kraj się zmienił dzięki funduszom unijnym. Wybudowano i odnowiono drogi oraz budynki, poczyniono też wiele innych inwestycji. Bez tego Polska nie wyglądałaby tak jak obecnie. Dlatego nie siedzcie w domach 9 czerwca, tylko ruszcie do lokali wyborczych. Co dokładnie zmieniło się dzięki wsparciu unijnemu? Prezentujemy kilka przykładów, które są jedynie małym wycinkiem całości.

Ciekawe miejsca w Polsce na pogodne dni

Robi się cieplej, więc nasze podróżnicze plany stają się bardziej interesujące. Co robić w ta-

kie dni? Jedną z atrakcji wartych zobaczenia jest Zachodniopomorski Szlak Żeglarski. To sieć nowych i zmodernizowanych marin nad Odrą, jeziorem Dąbie, w okolicach Zalewu Szczecińskiego i na wybrzeżu Morza Bałtyckiego. Podróżowanie od przystani do przystani zapewni wiele dni niezwykłych doznań. To propozycja dla wytrawnych żeglarzy, osób dopiero chcących złapać bakcyła lub mających ochotę na spokojny rejs z rodziną.

A może od żagli wolicie wycieczki rowerowe i rolki? Jeśli tak to koniecznie sprawdźcie ścieżki rowerowe w Aglomeracji Kalisko-Ostrowskiej. Dzięki wsparciu UE powstały tam też punkty przesiadkowe, samoobsługowe punkty naprawy i parkingi. W słoneczne dni stwarza to niesamowite możliwości do podróżowania we wspianych warunkach. Jeśli planujecie wyjazd na weekend połączony z aktywnością fizyczną, będzie to idealny wybór.

City Break bez samochodu

Zastanawiacie się, gdzie pojechać na weekend w Polsce, żeby odetchnąć i zobaczyć nowe miejsca? Jeśli nie macie ochoty wypoczywać na łonie natury, możecie odwiedzić większe miasta i przekonać się, jak zmieniły się i wypiękniły na przestrzeni ostatnich dwu-



dziestu lat. Każdy region ma wiele do zaoferowania, a dzięki unijnym inwestycjom podróżowanie po polskich miastach jest szybkie i wygodne.

Dobrym przykładem są Kielce. Dzięki dofinansowaniu z UE autobusy zostały wyposażone w biletomaty, tablice informacyjne oraz urządzenia systemu zapowiedzi głosowych. Wybudowano też Centrum Komunikacyjne, przy którym znajduje się parking, miejsca postojowe dla rowerów i ciągi piesze.

Zmiany czuć także na Mazowszu. Pojawiły się nowe połączenia kolejowe, a Koleje Ma-

zowieckie kupiły nowoczesne pociągi. Zmodernizowano też trasę Warszawa-Łódź. Szereg inwestycji sprawił, że obecnie podróż między miastami mija szybko i komfortowo.

Europa Experience - tu też warto zajrzeć

Brzydka pogoda nie przeszkodzi również w odwiedzeniu centrum multimedialnego Europa Experience. Można tam dowiedzieć się więcej o Unii Europejskiej i jej wpływie na nasze życie. Znajduje się ono w naszym centrum Warszawy, przy ul. Jasnej 14/16A. Wyposażone

jest w stacje multimedialne, kino 360°, a nawet grę fabularną, która pozwala wcielić się w posła do Parlamentu Europejskiego! Dzięki Europa Experience można poznać Unię Europejską od kuchni, dowiedzieć się, jak pracują poszczególne instytucje i jaki jest ich wpływ na rozwój krajów członkowskich. Wstęp jest bezpłatny, a treści jakie możemy tam znaleźć, są dostępne we wszystkich językach urzędowych Wspólnoty.

Podróżowanie po Polsce - coraz bardziej komfortowe?

Jeszcze kilkanaście lat temu

wyjazd na weekend kojarzył się z męczącymi podróżami. Dzięki wsparciu funduszy Unii Europejskiej jakość przemieszczania się polskimi drogami poszybowała do góry. Wybudowane i zmodernizowane trasy pozwalają na szybkie i komfortowe podróżowanie. Planujecie wyjazd na weekend we dwoje? A może chcecie odkryć nowe ciekawe miejsca? Nie ma znaczenia. Wielomilionowe fundusze unijne sprawiają, że podróżowanie po naszym kraju to teraz czysta przyjemność.

Lubisz podróżować? Głosuj w wyborach do Parlamentu Europejskiego

Trudno wymienić wszystkie ciekawe miejsca w Polsce. Wiele z nich zasługuje na to, żeby odwiedzić je ponownie, bo dzięki Unii Europejskiej zmieniły się nie do poznania. Informacje o inwestycjach znajdziesz pod tym linkiem: <https://what-europe-does-for-me.europarl.europa.eu/pl/?region?kind=prj&area=PL&xt=Polska>

Jeśli chcecie mieć wpływ na to, jakie decyzje będą podejmowane w UE, weźcie udział w wyborach do Parlamentu Europejskiego, które odbędą się 9 czerwca. Nie pozwól, by inni wybrali za ciebie.

Więcej informacji na temat wyborów znajdziecie na stronie elections.europa.eu.

MALBORK

Kula czasem kojarzy się z przepowiadaniem przyszłości. Ale ta – wręcz przeciwnie – skierowała uwagę wielu mieszkańców Malborka w przeszłość. Metalowa kula razem z krzyżem i wiatrowskazem została zdjęta 19 kwietnia br. z wieży Ratusza Staromiejskiego w Malborku. Wyciągnięto z niej tzw. kapsułę czasu z 1901 r., włożoną po zakończeniu remontu przeprowadzonego po pożarze z 1899 r. **STR. 8**



FOT. RADOŚLAW KONCZYŃSKI

GDAŃSK

Od Oliwy do Afryki. Wspomnienia o gdańskim zoo Gertruda-Maria Kuźmiuk pracowała ponad 10 lat w gdańskim zoo, od 1965 roku. Była planistką i księgową, ale czasami miała dość ludzi... **STR. 12**

Porty muszą być zabezpieczone. To cel sabotażu

- Szacuję, że na terenie naszego kraju może być około tysiąca członków rosyjskich, zakamuflowanych grup rozpoznawczo-dywersyjnych, chcących atakować naszą infrastrukturę krytyczną, w tym porty – mówi Maciej Lisowski, kpt. rez., obecnie analityk wojskowości. Rozmawiamy także o zdradzie Tomasza Szmydta, szkodach jakie spowodował dla naszego kraju

Tomasz Chudzyński

Jak wielkie szkody spowodował Tomasz Szmydt swoją zdradą? Ekspertiści wskazują, że jego współpraca z białoruskimi, czyli faktycznie rosyjskimi służbami, mogła trwać wiele lat...

Szkody mogły być najpoważniejsze, kiedy Tomasz Szmydt był, jak można przypuszczać, czynnym aktywnym białoruskim w Polsce i działał, w sposób zakamuflowany na rzecz wywiadu tego wrogiego nam państwa. I zwróćmy uwagę – tylko w poprzednim roku orzekał on w około 150 sprawach odwoławczych związanych z poświadczeniami bezpieczeństwa, pozwalającymi m.in. na pracę z tajemnicami państwowymi. I miał tu, niestety, wgląd do specjalnych ankiet – dokumentów, przy których wypełnianiu każda starająca się o poświadczenie osoba musi przysięgać „zdjąć galoty”. Tłumaczyć się całkowicie ze wszystkiego. I informacje z tych ankiet Szmydt przekazywał prawdopodobnie na Białoruś, a jak nietrudno się domyślić, ostatecznie trafiać one mogły do Moskwy. Taka wiedza mogła być wykorzystywana przez Rosjan do prób kompromitowania wielu osób, a przez to do pozyskiwania ich do współpracy, werbunku i tak dalej. W takim wypadku byłby to najbardziej szkodliwy etap działalności Szmydta. Potem, najprawdopodobniej spanikowany, czując się zagrożonym działaniami operacyjnymi naszych służb, a wiedząc, że przyzmat jego finansowych „sztosów” może być bardzo ciekawy, zdecydował się ewakuować na Białoruś. I jak wiele wskazuje, decyzję tę podjął samodzielnie, bez wiedzy swoich prawdopodobnych mocodaw-



FOT. PRZEMEK SWIDERSKI

Infrastruktura portowa jest wśród punktów zagrożonych wrogimi działaniami rosyjskich agentów

ców. Z chwilą jego przybycia do Mińska i ujawnienia, wartość materiałów, które mógł dostarczać Białorusinom radykalnie spadła.

Musieliśmy zminimalizować szkody...

Z definicji wszyscy wszystkie sprawy, którymi zajmował się Tomasz Szmydt, trafiły na „wórkę”, jak to mówi ppłk. Maciej Korowaj (oficer wywiadu wojskowego rezerwy, obecnie cywilny analityk -red.). Całość będzie dokładnie sprawdzana, odsiewana, filtrowana. I to już się dzieje od momentu ucieczki Szmydta. Osoby, z którymi miał kontakt, których sprawy prowadził, zostały „w reżimie higienicznym” odsunięte od wszelkich spraw. Jeżeli zostały one wcześniej np. skompromitowane, białoruski i rosyjski wywiad do nich dotarł i np. szantażował, to wszystko

to zostanie sprawdzone, choć nie wykluczam, że ustalenie stanu rzeczy potrwa jakiś czas. Inna kwestia jest jednak w tym, że biblioteka informacji, którą dostali Białorusini i Rosjanie od Szmydta będzie poważnym źródłem do dalszych prac dla ich służb, do obierania kolejnych celów – np. osób do werbunku. On sam może wskazywać kolejne cele, ponieważ utraciszowskie życie jakie prowadził, przyciągało go do innych tego typu ludzi. Zatem faza sanitarnej izolacji będzie dotyczyć właściwie wszystkich i wszystkich wokół Tomasza Szmydta. Jeżeli np. grał w pokera z kimś w jakimś miejscu, to muszą takie osoby zostać sprawdzone. Oby tylko starczyło zasobów kadrowych naszej kontrwywiadowczej służby, żeby mogli się tą sprawą zająć tak szeroko jak wymaga tego sytuacja. Bo czynności

sprawdzające muszą być wielopoziomowe, wieloaspektowe. One mogą dotyczyć nawet setek osób. Jest jeszcze jedna kwestia – Szmydt pokazywany jest przez Białorusinów jako ktoś ważny, jako wartościowe aktywo, które mieli w Polsce – „pompują” go dość mocno pokazując go w towarzystwie szefa białoruskiego wywiadu KDB, Iwana Tertela. I pilnują, żeby takie zdjęcia pojawiały się w Polsce. Być może w ten sposób, odwracając uwagę, chcą chronić swoje źródła, które mogą mieć nadal w naszym kraju, o wiele cenniejsze od Szmydta.

Zgodzisz się, że Rosjanie i Białorusini nadal grają skuteczną kartą Szmydta w Polsce? W naszym dyskursie politycznym mamy wzajemne oskarżenia o to, po której stronie był, kto odpowiada za jego karierę. To

jest zapewne również odprysk tej sprawy. Myślę nawet, że całkiem spory...

Rosjanie mają duże doświadczenie jak w naszym, strasznie spolaryzowanym społeczeństwie, ten stan jeszcze bardziej pogłębiać. Najlepszym przykładem jest choćby fakt niewydania wraku tupolewa. Za-uważmy, jak bardzo pogłębiło to wewnętrzne podziały w Polsce... I Szmydt to kolejna odsłona tego typu osłabiających nas działań. Obserwujemy wymiany tyrad polityków – kto go na sędziego mianował, kto go potem promował... Oczywiście jest, że osoby, które w jakimkolwiek momencie kariery tego człowieka go promowały mają w tej chwili naprawdę spory kłopot. Będą się musiały mocno tłumaczyć w czasie sprawdzającej ich wiwisekcji. Pamiętajmy, że ten człowiek w miejscu, w jakim był, nie miał

szans zdobywać informacji z zakresu czysto militarnego, obronnego. Być może liźnął tej tematyki w czasie postępowań przed wydaniem niektórych poświadczeń bezpieczeństwa... Natomiast w Wojewódzkim Sądzie Administracyjnym, Krajowej Radzie Sądownictwa, czyli instytucjach aparatu administracyjno-państwowego, mógł zdobywać głównie wiedzę z zakresu mechanizmów sprawowania władzy, o ludiach tejże władzy, ich wadach, zaletach, a także być może i cechach negatywnych, które obcy wywiad może wykorzystać. Całkiem zatem możliwe, że Tomasz Szmydt będzie służył pomocą przy profilowaniu niektórych kandydatów, obiektów, którymi mogliby się Białorusini i Rosjanie zainteresować. I będzie również wykorzystywany do rozgrywek, których celem będzie dzielenie, dalsza polaryzacja polskiego społeczeństwa i podsycanie wzajemnych animozji między stronami sporu politycznego w Polsce. W tym wymiarze jego wartość może być jeszcze podtrzymana, ale uważam, że to aktywność będzie bardzo szybko traciła wartość dla drugiej strony.

W kontekście wieloaspektowej, znużonej procedury sprawdzającej w sprawie Szmydta, o czym mówiliś, premier poinformował o dofinansowaniu wywiadu i kontrwywiadu środkami rezerwowymi...

Premier mówił o 100 milionów złotych... Wydawać się by mogło, że jest to sporo, ale pamiętajmy – cały budżet ABW/AW, powiększony o wyżej wymienioną kwotę z rezerwy szefa rządu, to ok. 60 proc. tego co idzie co roku na IPN. Nie ujmując tu absolutnie niczego IPN-owi,

ale to równanie jest jasne – mamy historię versus potrzeby dnia codziennego... Trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie, jakie są priorytety w danym momencie. I kwestia kolejna – dofinansowanie mają otrzymać służby cywilne, bo mowy o naszych służbach wojskowych nie było. A to polski wywiad wojskowy, Agencja Wywiadu Wojskowego była tą służbą, która dokładnie i precyzyjnie przyniosła naszym decydom wiedzę o tym, co Rosjanie szykują dla Ukrainy i kiedy najprawdopodobniej rozpoczną inwazję. Uważam, że wojsko zostało niezasłużenie pominięte.

Jest też kolejna wypowiedź Donalda Tuska, nawiązująca między innymi do pożaru Hali Marywilskiej. Premier powiedział, że nasze służby udaremniły kilkanaście przypadków co najmniej podpaleń i prób dywersji, ze strony różnego rodzaju dywersantów. Mówiliśmy o tym już w naszej wcześniejszej rozmowie, przy okazji zatrzymania rosyjskiego dezertera na polsko-rosyjskiej granicy, że Rosjanie mają w Polsce, ale też w innych państwach NATO, nie tylko zwerbrowanych „kretów”, ale grupy rozpoznawczo-dywersyjne. Ty i kilku innych niezależnych analityków używacie wręcz hasła mającego być przestrogą: „oni już tu są”...

Szacuję, że na terenie naszego kraju może być około tysiąca takich osób. Anna Maria Dynner z Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych miała podobne informacje, choć prof. Krzysztof Chochowski z Państwowej Uczelni Zawodowej im. prof. S. Tarnowskiego w Tarnobrzegu twierdził, że liczę tu dość konserwatywnie, zatem można zakładać, że liczba może być wyższa. Kiedy rozmawialiśmy w zeszłym tygodniu przewidywałem możliwość wystąpienia pewnych aktów sabotażu w Polsce. I to się potwierdza, nad czym ubolewam, bo wolałbym się mylić... Natomiast w kontekście słów premiera: mam taką refleksję, że być może tacy ludzie jak ja, koleżanki i koledzy, zostali wysłuchani, ktoś zwrócił uwagę na to, o czym mówimy, przed czym ostrzegamy. A nawiązujemy do swego rodzaju prewencji, także obywatelskiej. Powinniśmy, bez tzw. uruchomienia tzw. psychozy, racjonalnie, mieć na uwadze obserwację własnego otoczenia. Zwrócenie uwagi na pewne detale, np. coś pozornie nieważnego, ale niecodziennego, może przyczynić się do uniemożliwienia sabotażu. Oczywiście takie niepokojące detale należy zgłaszać służbom - poczynając od policji, a kończąc na tych najbardziej wyspecjalizowanych.

Pamiętam konferencje dotyczące potencjalnych sytuacji

**krzysowych, które odbywały się jeszcze przed rosyjską inwazją na Ukrainę, m.in. w Akademii Marynarki Wojennej czy Wyższej Szkole Administracji i Biznesu w Gdyni. Konkluzja była taka, że nasza infrastruktura krytyczna - porty, że-
gluga, energetyczne sieci przesyłowe, linie i węzły kolejowe są łatwym celem. Wystarczy komercyjny dron np. zestarym granatem moździerzowym. Teraz Maciej Bando, pełnomocnik ds. infrastruktury krytycznej postuluje zmianę przepisów, by wzmocnić ochronę tej newralgicznej części naszej gospodarki.**

Jest naprawdę bardzo dużo do zrobienia w tej kwestii. Rozmawiałem o tym m.in. z Marcinem Samselem, wykładowcą WSAiB i ekspertem ds. zarządzania kryzysowego, bezpieczeństwa m.in. infrastruktury krytycznej. I tu głos w dyskusji nt. rozwoju morskich sił naszego kraju - marynarka wojenna jest nam potrzebna do tego, by bronić i chronić polskie interesy nie tylko na naszych wodach terytorialnych, w naszej morskiej strefie ekonomicznej, ale również infrastruktury podmorskiej na dnie Bałtyku, która działa na rzecz Polski i naszych sojuszników. A wiemy przecież, że Rosjanie nie tylko rozpoznawali, ale również pozwalali sobie na próby niszczenia chociażby Baltic Connector, czyli podmorskiego gazociągu pomiędzy Finlandią a Estonią. Pamiętam, że został on uszkodzony przez kotwicę, którą ciągnął po dnie, przez kilkanaście mil, rosyjski statek.

Porty, jako spółki, również będą miały sporo do zrobienia w kwestii fizycznych, czy antydronowych, elektronicznych zabezpieczeń...

W tej kwestii nie powinno być dylematu, czy na takie inwestycje w portach państwo będzie stać. Z prostej przyczyny - porty są spółkami, z przeważającym udziałem skarbu państwa, które przynoszą ogromne dochody. Zapewne zaangażowanie 2 proc. rocznego dochodu polskich portów pozwoliłoby skokowo podnieść zdolności bierniej i aktywnej ochrony tych obiektów. Są dane, które wskazują, że w rozbudowę zdolności przeładunkowych polskich portów wydano do tychczas około 7 mld zł. Już w pierwszym roku po inwestycjach modernizacyjnych wpłaty do krajowego budżetu z tytułu watu, ceł i innych opłat wyniosły 41 miliardów złotych. Zatem decyzje w sprawie wzmocnienia zabezpieczeń portów powinny być szybkie. Jest z czego takie zadania sfinansować, z obopólną korzyścią dla państwa i spółek zarządzających portami. Ten interes jest jak najbardziej zbieżny.

OBRAZ ROSYJSKIEJ AGENTURY W POLSCE

Są cztery klasyczne metody werbunku wykorzystywane przez służby wszystkich państw - pieniądze, ideologia, kompromaty i ego. Nie wiemy, która z nich zadziałała na Szymdta, i była tylko jedna czy więcej - wynika ze słów prof. Krzysztofa Chochowskiego z Wydziału Nauk Społecznych i Humanistycznych Państwowej Szkoły Zawodowej w Tarnobrzegu.

Obraz działania rosyjskiej agentury w Polsce, jej metod działania, sprawę zdrady Tomasza Szymdta oraz możliwości kontrwywiadowczego zwalczania pracy służb wrogich nam państw zarysował prof. Krzysztof Chochowski wraz z innym analitykami, w czasie spotkania na internetowym kanale prowadzonym przez Macieja Lisowskiego - kpt rezerwy i analityka m.in. kwestii militarnych i bezpieczeństwa.

Spekulacje

Na obecnym etapie sprawy Szymdta komentatorzy, analitycy i publicyści mogą poruszać się w sferze spekulacji - na temat czasu, w którym Tomasz Szymdt mógł nawiązać białoruskim, rosyjskim wywiadem, kwestii tego jakie materiały mógł im przekazać i dlaczego zdecydował się uciec do Mińska. Wiadomo, że jako sędzia prowadził sprawy poświadczeń bezpieczeństwa dla osób, które mają pracować z tajemnicami państwa. Swoją wiedzę na temat wrażliwych danych mógł przekazać wrogim służbom.

- Są cztery klasyczne metody werbunku wykorzystywane przez służby wszystkich państw - pieniądze, ideologia, kompromaty i ego. Nie wiemy, która z nich zadziałała na Szymdta, i była tylko jedna czy więcej - wynika ze słów prof. Krzysztofa Chochowskiego z Wydziału Nauk Społecznych i Humanistycznych

Państwowej Szkoły Zawodowej w Tarnobrzegu. - To raczej nie był agent zwerbowany niedawno i na „szybko” - mówił z kolei prof. Damian Boćkowski, historyk, profesor Uniwersytetu w Białymstoku i Instytutu Historii im. Tadeusza Manteuffla PAN w Warszawie. - Trudno go porównywać do Czeczki (polski dezertier który uciekł na Białoruś i po jakimś czasie został znaleziony powieszony w mieszkaniu w Mińsku - red.), niestabilnie emocjonalnego uciekiniera.

Czeczko był słabym źródłem, którego Białorusini i Rosjanie nie chcieli. Wiadomo, że przez polskie służby kontrwywiadowcze prześwietlone zostaną wszystkie osoby, z którymi w Polsce styczeńność prywatną, zawodową miał Tomasz Szymdt. - Ponieśliśmy straty wizerunkowe i w zasobach informacyjnych - trzeba by ograniczać - podkreślał prof. Chochowski. Daniel Boćkowski wiązał potencjalną działalność Szymdta z innym, podejrzanym o szpiegostwo na rzecz Rosji, Tomaszem L. Zatrzymanym w 2022 pracownikiem Urzędu Stanu Cywilnego w Warszawie.

- Ci ludzie mogli „zalegendować” wielu niebezpiecznych ludzi działających w Polsce - tłumaczył Boćkowski.

Oni już tu są

Maciej Korowaj, ppłk rez., oficer wywiadu wojskowego wskazywał, że rosyjska agentura mogła sondować środowisko, w którym obracał się Szymdt, szukać „słabych punktów”.

- Taki agent, umiejscowiony w takim miejscu w jakim był Tomasz Szymdt to dla wrogich służb „złoto”. Świadczy to m.in. o tym, że dana służba prowadzi dość szeroko działalność operacyjną w naszym kraju i może mieć spore zasoby. Niemniej trzeba wiedzieć, że Polska nie jest tere-

skich służb. Niemniej Rosjanie potrafią grać w tę grę - mówił Maciej Korowaj.

Eksperci wskazywali, że mógł poczuć się zagrożony działaniem polskich służb. Stąd decyzja o ucieczce/ewakuacji, którą mógł podjąć samodzielnie lub była to decyzja oficerów, którzy go prowadzili. Maciej Korowaj podkreśla jednocześnie, że ujawnienie Szymdta na Białorusi jest porażką prowadzących go wrogich służb. Sprawdzenie życiorysu byłego sędziego, jego działalności w Polsce może wskazać potencjalnie innych współpracowników wrogich służb lub ich pracowników.

- Białorusini i Rosjanie po ujawnieniu Szymdta stracili czas i pieniądze, które w niego inwestowali. Wiele nocy jest dziś nieprzespanych w siedzibach wywiadu w Moskwie i Mińsku. Rosjanie będą chcieli Szymdta wykorzystać maksymalnie, w tym momencie w sferze propagandowej. Poza tym ma być on również przykładem.

Po wpadce ze śmiercią Czeczki rosyjskie i białoruskie służby nie miały dobrego wizerunku w oczach kandydatów do werbunku. Dlatego Szymdt jest dobrze traktowany. My z kolei musimy odwrócić ten „niby” rosyjski sukces. Pokazać, że Szymdt został zmuszony do ucieczki, że jego szkodliwa działalność została przerwana - tłumaczył Maciej Korowaj.

Eksperci wskazywali także na działalność polskich służb skierowanych przeciwko obecnym w naszym kraju grupom rozpoznawczo-dywersyjnym.

- Rosjanie budowali tego typu zasoby w Polsce ad hoc. Oni nie przypuszczali, że przez nasz kraj dostarczana będzie zbrojeniowa pomoc dla Ukrainy. Zakładali po prostu, że ich inwazja na Ukrainę zakończy się bardzo szybkim zwycięstwem - zaznaczał Maciej Korowaj.

Dodawał też, że aresztowania w krajach NATO zdrajców pracujących na rzecz Rosji, w ostatnich miesiącach, pokazywały skalę zaangażowania wywiadowczego rosyjskich służb ale też skuteczność kontrwywiadów w państwach sojusznicznych.

Co trzeba zrobić

- Należy zastanowić się, czy tego zająca (Szymdta - red.) nie wypłoszyły służby naszych sojuszników, mające znacznie większe zasoby personalne i finansowe - mówił prof. Chochowski. - Ta sprawa jest sygnałem dla naszych decydentów, by zacząć nasze służby kontrwywiadowcze i wywiadowcze rozbudowywać. - Myślę, że dziś przy wyjaśnianiu sprawy Szymdta wszystkie dostępne ręce są „na pokładzie” - dodawał prof. Boćkowski. Dodawał, że służby w Polsce nie mogą mieć łatki partyjnej przybudówki i odzyskać wizerunek skutecznej, profesjonalnej służby.

- SBU (Służba Bezpieczeństwa Ukrainy) w samym Kijowie ma 20 tys. oficerów. W naszych służbach jest kilka tysięcy wakatów. Przed nami praca na lata, przekraczająca na pewno kadencję parlamentarną - mówi Maciej Lisowski. - Pozostaje pytanie kto będzie sprawdzał kandydatów na sędziów w Polsce, bo system funkcjonujący od 30 lat, w którym sędziowie otrzymują dostęp do informacji niejawnych „w imię zasad” zwyczajnie zawiódł. Liczę, że środowisko sędziowskie zostanie teraz „uodpornione”.

- Myślę, że do rzeki, w której był Tomasz Szymdt, nikt ze środowiska sędziowskiego już nie wejdzie - mówił Maciej Korowaj.

Autor dziękuje Maciejowi Lisowskiemu za zgodę na wykorzystanie materiałów. Cały materiał dostępny w serwisie youtube.com, na kanale „Kapitan Lisowski”. ©

nasza HISTORIA

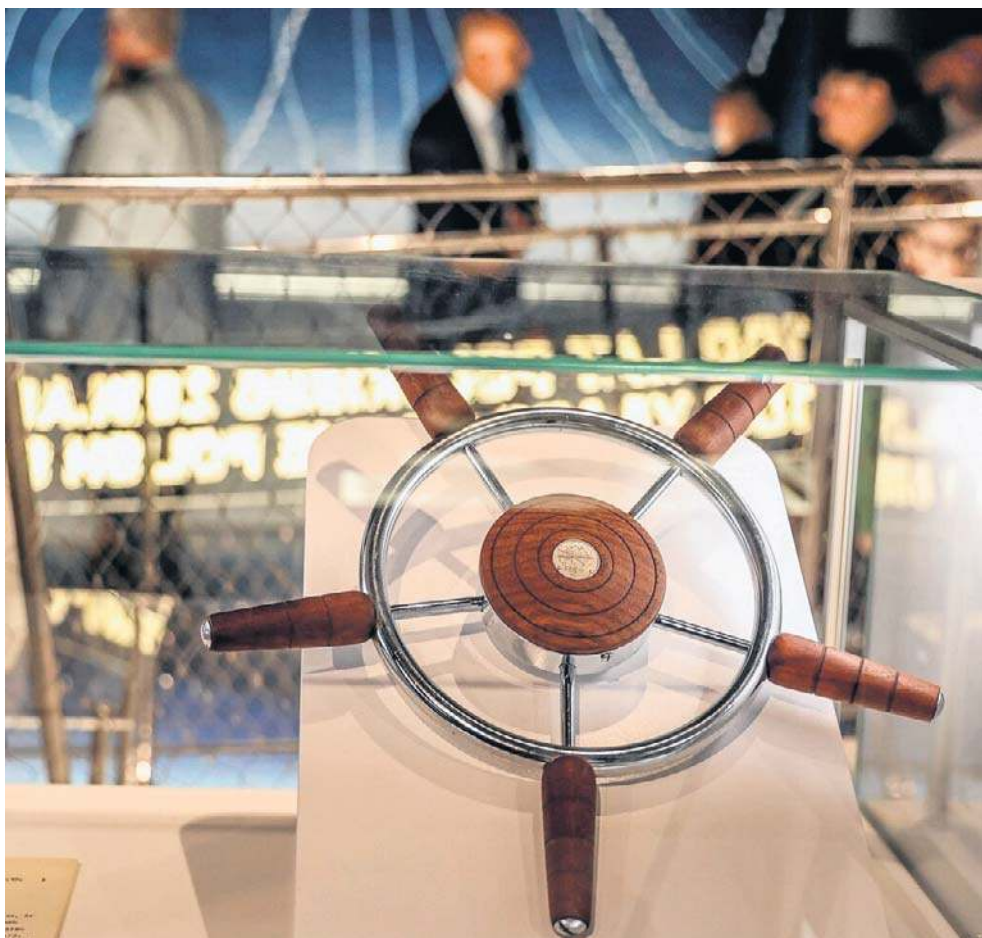
Nasza historia nigdy się nie powtarza





Chlubny punkt wystawy. Modele trzech „Zjaw”, którymi Władysław Wagner opłynął świat. Miniatury wykonał sam żeglarz

KALESONY KAPITANA BARANOWSKIEGO, CZYLI 100 LAT ŻEGLARSTWA POLSKIEGO



Koło sterowe z „Poloneza”, którym Krzysztof Baranowski jako pierwszy polski żeglarz opłynął Horn. Samego jachtu nie zobaczymy przy kei spichlerzy NMM

Wernisażem wystawy „100 lat polskiego żeglarstwa” w Narodowym Muzeum Morskim rozpoczęło się roczne świętowanie jubileuszu. Przez rok również dostępna będzie ekspozycja, którą muzeum pomógł przygotować Polski Związek Żeglarski. Wystawa wzbudziła jednak mieszane uczucia środowiska żeglarskiego

Stanisław Balicki

Piękny, okrągły jubileusz, symbolicznie wyznaczony przez moment zorganizowania się środowiska żeglarzy w odrodzonym kraju i centralna instytucja muzealna najodpowiedniejsza do jego upamiętnienia, wszystko to rozbudziło oczekiwania na barwną, mocną retrospektywną ekspozycję. Opowieść nowoczesnymi środkami wyrazu, znanymi choćby za takich instytucji jak Muzeum Powstania Warszawskiego, czy Muzeum II Wojny Światowej. Apetyt weryfikuje rzeczywistość. 100 lat tradycji polskiego żeglarstwa zmieszczono na ok. 200 m. kw. jednego z pomieszczeń na ekspozycję czasowe muzeum w spichlerzach na Ołowiance.

- Wystawa jest pierwszą w polskim muzealnictwie kompleksową próbą spojrzenia na dzieje polskiego żeglarstwa - mówił podczas wernisażu 11 maja, dokładnie 100 lat od utworzenia PZZ, dyrektor Narodowego Muzeum Morskiego Robert Domżał. - Jest obszerną i wielowątkową opowieścią, zarówno o najgłośniejszych sukcesach, jak i o mniej znanych aspektach sportu żaglowego. Przez prawie rok, do 4 maja 2025 roku, będzie dostępna w spichlerzach na wyspie Ołowiance dla wszystkich zwiedzających.

Bez fotografii, tylko eksponaty

Naprawdę trudno zgodzić się z tezą o obszerności ekspozycji. Jej zwiedzanie wywołało pewną konsternację wśród bliskich nestorów polskiego żeglarstwa, którzy odeszli już na wieczną wachtę. Ich rodziny przekazały muzeum wiele osobistych pamiątek, fotografii, dokumentów i przedmiotów, czy to w formie depozytów, czy - na własność. W wyjątkowo skondensowanych miejscach wystawy poświęconych ludziom najważniejszych, rekordowych i przełomowych rejsów nie zastali nawet ich twarze. Biogramy, jeśli obecne, są szczątkowe.

- Nasza koncepcja polega na tym, by historyczne rejsy Polaków zobrazować nie pamiątkami czy odznaczeniami, tylko faktycznym wyposażeniem i częściami jednostek, na których

żeglarze dokonali swoich wyczynów - jakby uprzedzał podczas otwarcia wystawy Radosław Paternoga, jej kurator.

Bliscy bohaterów żeglarskiego wyczynu, z którymi rozmawiałem lub których reakcje mi przekazano, to często naprawdę znane nazwiska. Ludzie ci nie chcieli przy okazji wernisażu wywoływać skandalu, nie chcą autoryzować przywołanych pierwszych wrażeń, wdawać się w środowiskowy konflikt.

Jedna z z tych osób z sarkazmem stwierdziła, że symbolem stulecia pozostaną wyeksponowane w samym centrum sali kalesony kpt. Krzysztofa Baranowskiego z prezentowanego, obok m. in. sztormiaka, stroju żeglarza z samotnego rejsu dookoła globu. Widzimy bieliznę rekordzisty, nie poznamy jego osmażanej wiatrem twarzy, nie zobaczymy jachtu „Polonez”, na którym jako pierwszy polski samotny żeglarz opłynął przylądek Horn.

Wystawa tyłem do wody

Obok niewielkiej powierzchni ekspozycji i szczątkowego wykorzystania ikonografii zdziwienie pierwszych zwiedzających budziło też niewykorzystanie wielkiego atutu muzeum - nabrzeża Motławy przy spichlerzach. W zbiorach placówki od 2 lat jest „Mazurek” kapitan Krystyny Chojnowskiej-Liskiewicz, na którym jako pierwsza kobieta na świecie w 1978 roku opłynęła samotnie glob. Jacht jest eksponatem pływającym. Żeglujecie też „Polonez”, o którego depozyt na czas wystawy można się było postarać. W gdańskim Polskim Klubie Morskim, jednym z 4 założycieli PZZ, jest „Korsarz”, najstarszy polski jacht sportowy cały czas pod żaglami. Jednostka wślawiła się zwycięstwem w przedolimpijskim zlocie gwiazdzistym do Kilonii w 1936, co pokrzyżowało niemieckie plany triumfu załogi gospodarzy. Ten wyczyn 23-letniego kapitana, harcerza Tadeusza Prechitki, został zresztą w wystawie pominięty.

Obiekty NMM w spichlerzach na Ołowiance dają też możliwość wyeksponowania we wnętrzu, czy otoczeniu, innych rekordowych jachtów, które są w posia-

daniu muzeum. Choćby „Opty”, na którym kapitan Leonid Teliga jako pierwszy Polak samotnie okrążył świat, wspianale zrekonstruowany przez Centrum Konserwacji Wraków Statków, tczewski oddział NMM. Kolejnym eksponatem placówki jest jacht „Dal”, który pod kapitanem Andrzejem Bohomolcem jako pierwszy dopłynął z Polski do USA w 1934 roku.

Zaruski niemal nieobecny

Dobrym przykładem redukcji informacji spowodowanej szczupłością miejsca jest osoba gen. Mariusza Zaruskiego, inicjatora i pierwszego komandora Yacht Klubu Polski, jednego z 4 założycieli PZZ, od 1935 prezesa związku, twórcy harcerskiego wychowania morskiego młodzieży, komendanta przedwojennego „Zawiszy Czarnego”. Miejsce mu poświęcone, znów bez fotografii, eksponuje księgę rozkazów z żaglowca, epolety generalskie i pas oraz kątomierz tarczowy, przyrząd nawigacyjny należący do Zaruskiego. Szczątkowy, kilkudzaniowy biogram kończy się w roku 1939, nie informując o śmierci generała w chersońskim więzieniu w sowieckiej niewoli.

Dobrze chociaż, że przez rok trwania wystawy w sąsiedztwie muzeum zdarzy się cumować żaglowcowi „Generał Zaruski”, którego armatorem jest Gdańsk. Jacht miał być pierwszym z serii, której projekt powstał według wytycznych Zaruskiego dla szkolenia morskiego młodzieży. Jego odbiór i budowę dalszych uniemożliwiła wojna. Tych informacji i skierowania z sali wystawowej ku sąsiadującej kei na wystawie nie znajdziemy.

Drobny krok w przywracaniu pamięci Wagnera

Trzeba jednak muzeum pochwalić za przywracanie pamięci Władysława Wagnera, harcerza który w 1932 roku, mając niespełna 20 lat, rozpoczął swój rejs dookoła świata. Po 7 latach burzliwej przygody, 2 razy zmieniając jacht zamknął pętlę wokół globu, wojna uniemożliwiła mu powrót do kraju. Choć znów bez wizerunku żeglarza, gabłota otwierająca wystawę zawiera trzy mo-

dele kolejnych „Zjaw”, wykonane przez samego Wagnera w latach 70. Muzeum jest w trakcie pozyskiwania pamiątek po zmarłym w 1992 roku na emigracji w USA. Ekspozycja zawiera też krajkę harcerską Wagnera.

Czego jeszcze nie ma

Zdumiewa brak zaakcentowania sukcesów polskich żaglowców szkolnych. Choć „Dar Pomorza” jest eksponatem a nawet oddziałem NMM z wystawy nie dowiemy się o jego wygranej w 1972 i 1980 roku Cutty Sark Tall Ships Races, znanymi wtedy lepiej w Polsce jako „Operacja Żagiel”. Wystawa milczy też o analogicznym sukcesie jego następcy w 1982, gdzie regaty były jednocześnie dziewiczym rejsiem „Daru Młodzieży”. Podobnie jest z „Fryderykiem Chopinem”, któremu również zdarzało się osiągać sukcesy w regatach wielkich żaglowców szkolnych.

Nawet jeśli z powodu ostrej selekcji materiału do ekspozycji pominięte zostało zawodowe szkolnictwo morskie na żaglowcach, to organizacja ich regat włącza je w nurt wyczynu żeglarskiego. W tym kontekście niezrozumiałe jest pominięcie w sekcji innych organizacji działających obok Polskiego Związku Żeglarskiego stowarzyszenia Sail Training Association Polska, które powstało już po upadku komunizmu, by przejąć w kraju tę ak-



FOT. KAROLINA MISZTAŁ

Wystawa opowiada stuletnią historię polskiego żeglarstwa wyłącznie drobnymi eksponatami i ich zdawkowymi opisami. Szczególnie brakuje fotografii ludzi historii polskiego żeglarstwa...

tywność. STAP jest członkiem założycielem światowego Sail Training International, które organizuje regaty wielkich żaglowców.

Kto zbudował żaglowce?

Na wystawie niemal nieobecne są też informacje o skutnictwie towarzyszącym żeglar-

stwu. Tym bardziej to dziwne, że bohaterowie 100-lecia często sami byli budowniczymi swoich rekordowych legendarnych jachtów. Władysław Wagner „Zjawę III” sam zaprojektował. Leonid Teliga „Optego” zbudował samodzielnie. Juliusz Siemradzki, olimpijczyk z 1936, o którym ekspozycja wspomina, był też konstruktorem jachtów. Tak

jak nieobecne są wielkie żaglowce, tak nie ma słowa o Zygmuncie Chorenii, konstruktora m. in. „Daru Młodzieży”, „Pogonii”, „Iskry” i bohaterze fenomenu budowy takich jednostek w obecnych czasach w skali świata.

W zasadzie każdy, nawet nieinteresujący się żeglarstwem, zna nazwę „Omega”.

To najpopularniejszy chyba w historii polskiego żeglarstwa śródlądowy jacht na styku wyczynu i rekreacji, którym pływały pokolenia wodniaków. Czemu ekspozycji, choćby w hallu muzeum, zapraszając na wystawę, nie towarzyszy żagłówka, trudno zrozumieć. - Często jestem pytany, w którą stronę żeglarstwo

będzie szło, jaki oberze kierunek? - mówił podczas otwarcia wystawy Tomasz Chamera, prezes PZZ. - Żeglarstwo jest jedno, bo to pasja, działalność sportowa i edukacyjna, walory historyczne, walory wspaniałych rejsów eksploracyjnych do miejsc, gdzie nie dotrzemy z żadnym biurem podróży, to edukacja morska, szkolenia, to dział konstrukcyjny, piękne osobowości, patrioci i wspaniali Polacy.

Same knagi, kabestany, szelki i kompasy nie opowiedzą pełnej historii tych ludzi, nawet jeśli mamy świadomość, że to oni ich używali, że te przedmioty towarzyszyły im w ich wyczynach żeglarskich. Można odnieść wrażenie, że wystawa została przygotowana dla wąskiego grona zwiedzających, dla których oczywiste jest, kim są jej bohaterowie, czego dokonali, jak wyglądali. Aspekt popularyzatorski, edukacyjny został zaprzepaszczony. Co z obejrzenia ekspozycji opowiadającej o stuleciu polskiego żeglarstwa wyniosą turyści, którzy w nadchodzącym sezonie jak zwykle licznie odwiedzą NMM? W roku pięknego jubileuszu utracona została możliwość opowiedzenia nowoczesnym językiem muzealnictwa barwnej, pełnej dramatycznych zwrotów i wspaniałych sukcesów historii tych, dla których żeglowanie było życiową koniecznością.

©©

REKLAMA

0011086682

ZAGRAJ

250 000 zł

wyślij SMS
GRAM
na
7375
koszt SMS 3,69 zł

NASZA LOTERIA

Loteria +18 lat. Organizator: Peakmake sp. z o.o.

KULA, KTÓRA OPOWIEDZIAŁA PRZESZŁOŚĆ

Dokument z 1901 roku podpisany przez Conrada Steinbrechta znajdował się w kapsule czasu zdjętej z wieży Ratusza Staromiejskiego w Malborku. Metalowa tuba z ponad 100-letnią zawartością została otwarta w obecności mieszkańców w Muzeum Miasta Malborka

Radostaw Konczyński

Kula czasem kojarzy się z przepowiadaniem przyszłości. Ale ta – wręcz przeciwnie – skierowała uwagę wielu mieszkańców Malborka w przeszłość. Metalowa kula razem z krzyżem i wiatrowskazem została zdjęta 19 kwietnia br. z wieży Ratusza Staromiejskiego w Malborku. Wyciągnięto z niej tzw. kapsułę czasu z 1901 r., włożoną po zakończeniu remontu przeprowadzonego po pożarze z 1899 r. Wówczas pracami kierował Bernhard Schmid, a nadzorował je jego szef, Conrad Steinbrecht – kierownik Zarządu Odbudowy Zamku.

- Możemy poczuć się jak Steinbrecht w 1901 r., bo w tej kapsule zapewne znajduje się coś od niego. To dla nas bardzo ważna uroczystość, bo namacalnie można było ściągnąć coś, czego dotyczył Conrad Steinbrecht. Musimy na spokojnie otworzyć kapsułę, by nie zniszczyć dokumentów. Ale to ważne wydarzenie, bo otworzymy coś, co nasi poprzednicy zostawili dla potomnych. To jest bardzo cenna rzecz – mówił Tomasz Agejczyk, dyrektor Muzeum Miasta Malborka, po zdjęciu kuli z dachu.

Niby kartka papieru, a skarb dla historyków

Teraz już wiadomo, że się nie mylił. W kapsule, która w obecności mieszkańców została otwarta w miniony poniedziałek w Muzeum Miasta Malborka, znajdowała się jedna, ale obficie zapisana kartka papieru z podpisem Steinbrechta. Dla miłośników historii jest ona prawdziwym skarbem.

- Dokument jest datowany na 1901 rok. Jest podpisany przez najważniejszą osobę dla ówczesnego Malborka, czyli Conrada Steinbrechta – potwierdza Tomasz Agejczyk.

33-letni Steinbrecht, architekt i konserwator zabytków, trafił do Malborka w 1882 r., by jak się potem okazało, zrealizować dzieło swojego życia. Do 1921 roku kierował Zarzędem Odbudowy Zamku, nadając warowni wygląd zbliżony do średniowiecznej stolicy Krzyżaków.

- Zamek ma korzenie średniowieczne, ale oczywiście to, co widzimy, to nie jest średniowiecze od początku do końca. Widzimy również historię konserwatorstwa, która przetrwała dzięki

się tutaj do dziś. Od przeszło 200 lat to jest cały czas batalia o to, żeby zamek wyglądał jak najlepiej, pomimo wszystkich zniszczeń, które przez stulecia miały miejsce, czy to z powodu wojen szwedzkich, czy zniszczeń spowodowanych przez Prusaków podczas przebudów po pierwszym rozbiórce Polski, czy już w 1945 roku. To jest cały czas narracja konserwatorska i w tym wszystkim Conrad Steinbrecht, który 40 lat swojego życia poświęcił na działalność w Malborku, wyróżnia się wybitnie. Właściwie cały zamek, ten, który teraz sobie oglądamy, to jest „zamek Steinbrechta” – wyjaśnia nam Artur Dobry z Działu Historii Muzeum Zamkowego w Malborku, ekspert w zakresie życia i działalności Conrada Steinbrechta.

Wielki pożar gasili też strażacy z Gdańska

Ale Steinbrecht nie zajmował się tylko zamkiem. Życie wymusiło, że jego kunszt – już wtedy dobrze znany i doceniany – okazał się potrzebny w mieście po tragicznych wydarzeniach z przełomu XIX i XX wieku. Wiemy to z listu wyciągniętego z kapsuły czasu z Ratusza Staromiejskiego.

- Jest to, jak przypuszczaliśmy, dokument, który opisuje całą sytuację spalenia Ratusza w 1899 roku, wszelkie koszty związane z odbudową dachu i kto przy tym pracował – dodaje Tomasz Agejczyk.

Nie licząc zamku, Ratusz Staromiejski to jedna z najcenniejszych budowli, które zachowały się w mieście od czasów średniowiecza, odbudowywany w późniejszych wiekach po zniszczeniach wojennych, ale też właśnie po wielkim pożarze z 1899 roku.

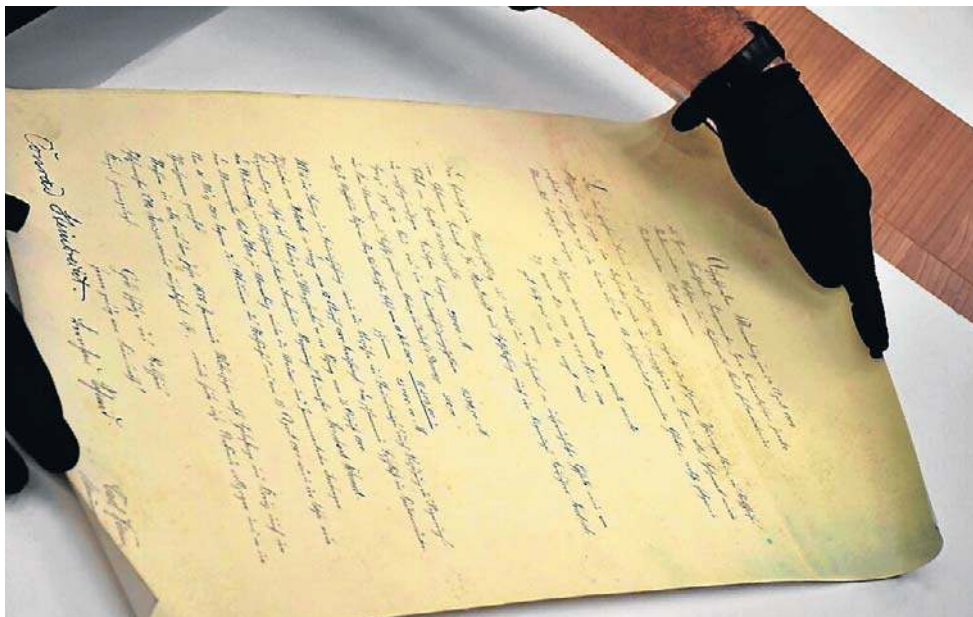
„26 lipca 1889 miasto dotknęła jedna z największych w jego dziejach katastrofa – pożar, który zniszczył 49 budynków na na Starym Mieście” – pisze Ryszard Rząd w „Bedekerze malborskim”.

Starówka stała w ogniu. Oprócz miejscowych strażaków w bardzo trudnej akcji gaśniczej wzięła udział zawodowa straż pożarna z Gdańska, która dotarła z wielką i wydajną pompą napędzaną maszyną parową. Z przekazów świadków wynika, że ten sprzęt zapobiegł dalszemu rozprzestrzenianiu się ognia.

Miasto na odbudowę dachu Ratusza otrzymało pomocą finansową od niemieckiego dworu cesarskiego w wysokości



Dla Tomasza Drózd z Muzeum Miasta Malborka to będzie pamiętne wydarzenie. W końcu nie często ma się okazję, by otworzyć ponad 100-letnią kapsułę czasu



Wewnątrz znajdował się list podpisany m.in. przez Conrada Steinbrechta, wybitną postać w Malborku z przełomu XIX i XX wieku

11 300 marek, co pokryło połowę kosztów prac. Na swoje miejsce wróciły uratowane z pożogi ozdoby ratuszowej wieżyczki: krzyż, kula i chorągiewka z 1686 r., w przeciwieństwie do dwóch średniowiecznych dzwonów, które zostały zniszczone.

Zanim kapsułę czasu z Ratusza Staromiejskiego można było otworzyć, Muzeum Miasta Malborka musiało dopełnić formalności związanych z przepisami konserwatorskimi. Kapsułę obejrzał więc wojewódzki konserwator zabytków.

- Musieliśmy też sprawdzić, jak bezpiecznie wydobyć to, co było w środku, a do dzisiaj na-

prawdę nie wiedzieliśmy, co nasi poprzednicy schowali tam ponad sto lat temu. Kapsuła przeszła badanie rentgenowskie, które nie wykazało obecności żadnych metali. Były też wielkie obawy, że woda i wilgoć dostała się do środka – mówi Tomasz Agejczyk.

Ale do niczego takiego nie doszło. Dokument przetrwał w doskonałym stanie dzięki temu, że tuba w 1901 roku została bardzo szczelnie zamknięta. Zresztą, niełatwo było ją otworzyć. List Steinbrechta zostanie wkrótce poddany pracom konserwatorskim w Muzeum Zamkowym. Specjaliści z zamku dokładnego

przebadają, na pewno odgrzybią i prawdopodobnie wyprostują. Następnie ma być na stałe wystawiony w Muzeum Miasta Malborka razem z tłumaczeniem z niemieckiego na polski.

Pozostaw ślad, dotknij przyszłości...

Kapsuła czasu dalej tkwiłaby na swoim miejscu, gdyby nie rozpoczęty remont Ratusza. Pierwszy etap obejmuje dach i poddasze, częściowo elewacje i niezbędne prace zabezpieczające. - Oryginalna kula z XVII wieku wróci na szczyt wieży. Natomiast krzyż i wiatrowskaz najprawdopodobniej już nie. Woj-

wódzki konserwator zabytków stwierdził, że są w takim stanie, że już po prostu nie nadają się na umieszczenie, więc te elementy najprawdopodobniej zostaną odtworzone – wyjaśnia Tomasz Agejczyk.

Oprócz prac ratujących Ratusz w ramach inwestycji przewidziano również przywrócenie przedwojennego wyglądu fontanny, która stoi tuż przy nim. Wszystko wskazuje na to, że tam czeka kolejna kapsuła czasu, tym razem w postaci aktu erekcyjnego.

- Wszelkie ślady wskazują na to, że wiemy, gdzie jest kolejna kapsuła. Nie jest, tak jak ta, bardzo wysoko, tylko jest pod ziemią. Też związana z Ratuszem Staromiejskim, nikt po wojnie chyba jej nie wydobył, bo musiałby przenieść fontannę – mówi Tomasz Agejczyk.

Chodzi o akt erekcyjny, który pod fontannę wbudowano 2 maja 1926 r., z okazji 575-lecia malborskiego Bractwa Strzeleckiego. Dokument zaczynał się od słów: „W 8 roku po zakończeniu wielkiej wojny i w 1 roku rządów Prezydenta Rzeszy von Hindenburga, honorowego prezydenta Bractwa Strzeleckiego”. Cztery tygodnie później fontanna była gotowa. Wewnątrz basenu z wodą ustawiono wysoki kamienny cokół z wrytym dwustronnie napisem: „Schützen-brunnen 1926”. Na cokole ustawiono figurkę kusznika z brązu o wysokości ok. 1,2 m wykonaną przez słynnego królewieckiego rzeźbiarza Walthera Rosenberga. Po remoncie dachu ratusza współcześni, żeby tradycji stało się zadość, też włożą swoją kapsułę czasu do zabytkowej kuli. Jeszcze nie wiadomo, co dokładnie to będzie. Burmistrz Malborka Marek Charzewski sugerował, że dobrym pomysłem byłoby umieszczenie m.in. zdjęcia z niedawnego otwarcia kapsuły. Samo „magazynowanie” wspomnień i pozostawianie przekazów kolejnym pokoleniom jest dość częstą praktyką. Oprócz zawartości ważną jest trwałość przekazu. Są firmy, które specjalizują się w produkcji kapsuł ze stali kwasoodpornej o podwyższonej odporności na korozję i o konstrukcji zapewniającej pełną szczelność.

„Nasze kapsuły to jakość i gwarancja długowieczności w nawet najbardziej niesprzyjających okolicznościach! Pozostaw po sobie ślad, dotknij przyszłości...” - reklamuje się jeden z producentów.

„Czyste Powietrze” na nowych zasadach. Ważne zmiany już obowiązują!



Obowiązkowa lista zielonych urządzeń i materiałów (ZUM), jedna szansa na najwyższe dofinansowanie, doprecyzowanie prefinansowania i pełnomocnictwa oraz wzmocnienie budżetu środkami europejskimi – to nowości, które od 22.04.2024 r. czekają na osoby korzystające z programu „Czyste Powietrze”.

„Zmieniliśmy program „Czyste Powietrze”, kierując się troską o naszych beneficjentów. Aktualne zasady mają chronić wnioskodawców i ograniczać nieuczciwe praktyki związane m.in. ze sprzedażą nieefektywnych urządzeń, które bez termomodernizacji domu, zamiast obniżać, to podwyższają rachunki za ogrzewanie” – mówi Dorota Zawadzka-Stepniak, prezes Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej (NFOŚiGW).

Ale to nie koniec nowości w „Czystym Powietrzu”, bo program zyskał właśnie nowe finansowanie.

„Mamy kolejne duże pieniądze dla Polaków na wymianę kopciuchów i termomodernizację domów. To aż 6,4 miliarda złotych z Funduszy Europejskich na Infrastrukturę, Klimat, Środowisko (FEnIKS), które obok środków z Krajowego Planu Odbudowy (KPO), zapewniają nam ciągłość i stabilne finansowanie „Czystego Powietrza” w najbliższym czasie. To ogromny sukces, wypracowany wspólnie z Ministerstwem Klimatu i Środowiska” – dodaje prezes NFOŚiGW.

Uszczelnienie listy ZUM dotyczy wszystkich

Obecna wersja programu z dnia 22.04.2024 r. zobowiązuje wnioskodawców – od 14.06.2024 r. – do wyboru pomp ciepła oraz kotłów zgazowujących drewno i kotłów na pellet tylko z tych wpisanych na listę ZUM. To ma być gwarancja wyboru urządzeń o potwierdzonej jakości, czyli takich, które spełniają deklarowane w karcie produktu i etykiecie energetycznej parametry oraz rzeczywiście przełożą się na efektywniejsze (tańsze) ogrzewanie polskich domów. Nowe zasady stwarzają trzy opcje dla wnioskodawców:

- wniosek złożony **do 21.04** – pozwala na dotację na urządzenia spoza listy ZUM;
 - wniosek złożony **od 22.04** i dowód zakupu urządzenia **do 13.06** – pozwala na dotację na urządzenia spoza listy ZUM;
 - wniosek złożony **od 22.04** i dowód zakupu urządzenia **od 14.06** – dotacja tylko na urządzenia z listy ZUM.
- Zamknięcie listy zielonych urządzeń i materiałów dotyczy również producentów i dystrybutorów pomp ciepła. Wszystkie pompy ciepła, znajdujące się obecnie na liście ZUM, wymagają uzupełnienia dokumentacji o raport z badań z niezależnych akredytowanych laboratoriów z terenu EU lub EFTA. Uszczelnienie listy ZUM – jak już wspomniano – obejmuje również kotły zgazowujące drewno i te na pellet drzewny, ale w tym przypadku nie są wymagane dodatkowe dokumenty. O szczegółach technicznych nowych wymogów, pisaliśmy wielokrotnie na stronie programu: czystepowietrze.gov.pl.

Najwyższe dofinansowanie

Kolejną istotną zmianą w „Czystym Powietrzu” jest kwestia zasad wnioskowania w ramach części 3) programu. Beneficjent, który skorzysta z najwyższego poziomu dofinansowania

na dany budynek – na podstawie wniosku złożonego od 22.04.2024 r. – będzie mógł starać się o dofinansowanie na kolejne budynki tylko w ramach części 1) programu (podstawowy poziom dofinansowania). Tutaj też – podobnie jak przy liście ZUM – obowiązuje okres przejściowy do 13.06.2024 r. włącznie.

Nowe reguły dotyczące najwyższego dofinansowania należy rozumieć tak, że:

- Wniosek o dotację złożony **do 21.04** – zmiany Cię nie dotyczą;
- Wniosek o dotację złożony **od 22.04 do 13.06** – okres przejściowy, uwzględniający poniższy warunek;
- Wniosek o dotację złożony **od 14.06 lub później** – zmiany Cię dotyczą, **jedna szansa na dotację w ramach najwyższego poziomu dofinansowania** (część 3 programu) o ile już wcześniej (od 22.04) nie udzielono Ci dotacji z części 3) programu na inny budynek/lokal mieszkalny.

Prefinansowanie i pełnomocnictwo uszczegółowione

W umowie dotacji z prefinansowaniem doprecyzowano, że warunkiem wypłaty zaliczki na konto wykonawcy jest złożenie do wojewódzkiego funduszu ochrony środowiska i gospodarki wodnej (wfośigw) podpisanej własnoręcznie przez beneficjenta dyspozycji wypłaty zaliczki wraz z kopią faktury zaliczkowej (wystawionej na beneficjenta lub beneficjenta i małżonka wspólnie). A ponadto określono czas na złożenie wniosku o płatność – rozliczającego zakres przedsięwzięcia wynikający z danej umowy z wykonawcą – do 120 dni od daty wypłaty zaliczki dotyczącej realizacji tej umowy z wykonawcą.

W przypadku składania wniosku o dotację z „Czystego Powietrza” przez pełnomocnika, teraz wymagane jest pełnomocnictwo z podpisem własnoręcznym wnioskodawcy notarialnie poświadczonym (czyli z podpisem własnoręcznym złożonym przez wnioskodawcę na pełnomocnictwie w obecności notariusza, bądź wcześniej złożonym podpisem uznanym przez wnioskodawcę przed notariuszem za własnoręczny).

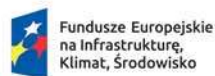
Nowe źródła finansowania programu „Czyste Powietrze”

NFOŚiGW sfinalizował właśnie (16.04.2024 r.) w ramach „Czystego Powietrza” podpisanie szesnastu umów (ze wszystkimi wfośigw) dotyczących projektów grantowych z unijnego programu FEnIKS. Teraz, po złożeniu przez wojewódzkie fundusze pierwszych wniosków o płatności zaliczek, nastąpi uruchomienie tego nowego finansowania. Wdrożenie środków FEnIKS (6,4 mld zł na lata 2024-29), to szansa dla ponad 145 tys. gospodarstw domowych na dotację do wymiany ponad 111 tys. źródeł ciepła i modernizację ok. 100 tys. budynków.

Pieniądze dla każdego

Program „Czyste Powietrze” – z budżetem 103 mld zł – to największa proekologiczna inicjatywa w polskiej historii, służąca skutecznej walce ze smogiem oraz poprawie efektywności energetycznej jednorodzinnych budynków mieszkalnych. „Czyste Powietrze” to szansa dla Polaków obecnie nawet na 135 tys. zł bezzwrotnej dotacji na termomodernizację i nowe źródło ciepła. Dotychczas (stan na 19.04.2024 r.) złożono ponad 840 tys. wniosków na 26,5 mld zł dofinansowania.

czystepowietrze.gov.pl



Rzeczpospolita
Polska

Dofinansowane przez
Unię Europejską



Dofinansowane przez Unię Europejską – NextGenerationEU

Od 22 kwietnia zmiany w programie „Czyste Powietrze”

- **wprowadzenie od 14.06 obowiązku wyboru** pomp ciepła oraz kotłów zgazowujących drewno i kotłów na pellet **tylko z tych wpisanych na listę zielonych urządzeń i materiałów (lista ZUM: lista-zum.ios.edu.pl)**
- zmiany w możliwości uzyskania **najwyższego poziomu dofinansowania** (liczba budynków/lokalii jednego beneficjenta)
- w trosce o beneficjenta nowe zapisy w dokumentacji dotyczące **prefinansowania i pełnomocnictwa**

Program „Czyste Powietrze” Twoja dotacja, Twoje korzyści!

Przemysł zanim
zdecydujesz się
na wybór rozwiązań
i wykonawcy



Postaw na korzyści:

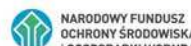
- ✓ niższe koszty ogrzewania, bo mniejsze zużycie energii
- ✓ lepszy komfort życia i wygoda
- ✓ lepsze zdrowie Twoje i Twojej rodziny

Jak to zrobić?

- ✓ potrzebny Ci docieplony dom i efektywne źródło ciepła
- ✓ sama wymiana kopciucha może Cię narazić na wyższe niż dotychczas rachunki za ogrzewanie
- ✓ sprawdź, gdzie Twój dom wymaga docieplenia

Skorzystaj z pomocy:

- ✓ zamów **audyt energetyczny**, który jednoznacznie określi potrzeby Twojego domu (dotacja do 1,2 tys. zł z programu „Czyste Powietrze”)
- ✓ skonsultuj się w **gminnym punkcie konsultacyjno-informacyjnym** programu „Czyste Powietrze”
- ✓ zapytaj sąsiada, znajomego, kogoś, kto już skorzystał z „Czystego Powietrza” i jest zadowolony z konkretnych efektów
- ✓ sięgnij po **bezpłatne narzędzia** na czystepowietrze.gov.pl (m.in. kalkulator grubości izolacji, lista ZUM)



czystepowietrze.gov.pl

KOŚCIERSKA TRÓJCA ŚWIĘTA

Od 350 lat z Kościerzyny wyrusza przed Wniebowstąpieniem Pańskim piesza pielgrzymka na kalwaryjskie wzgórza w Wejherowie. Jednak i do Kościerzyny wędrują pątnicy – do najstarszej parafii w mieście

Piotr Piotrowski

Kościerskie pielgrzymowanie to przede wszystkim przeżycie duchowe, a także bogata, wielowiekowa historia. By o niej opowiedzieć, należy cofnąć się do źródeł. A te „wypływają” z kościoła pw. Świętej Trójcy. To największy, a zarazem najstarszy kościół w dekanacie kościerskim.

Kościół wielu kształtów

Pierwsza wzmianka o parafii kościerskiej pochodzi z 1210 r. Od chwili swojego powstania aż do 1826 r. parafia była pod rządami biskupa wrocławskiego. Po 1826 r. została włączona do biskupstwa chełmińskiego z siedzibą w Pelplinie, wtedy też stając się siedzibą dekanatu.

Na przestrzeni wieków kościół parafialny wielokrotnie ulegał pożarom, więc też i przebudowywano go. Niszczycielski ogień zaatakował świątynię w 1463 i w 1626 r. Istnienie drewnianej świątyni potwierdza sprawozdanie z wizyty biskupiej, pochodzącej z 1583 r. Nowy kościół, już murowany stanął w 1642 r. Z tego okresu pochodzi ołtarz główny, ołtarze boczne, zespół stall i niektóre obrazy.

Tereny parafii ucierpiały znacznie w wyniku działań wojennych prowadzonych przez Rzeczpospolitą na przełomie XVII i XVIII w. Kolejny pożar kościoła miał miejsce w 1709 r. Lata 1709 - 1711 były dla tych terenów szczególnie tragiczne - mieszkańców Kościerzyny dziesiątkowały epidemie i przemarsze wojsk. Nowy kościół wznieziono w 1724 r., a konsekrowano w 1769 r. Kościół ten rozebrano mimo dobrego stanu, gdyż nie mieścił wiernych obszernej parafii. W latach 1914 - 1917 zbudowano nowy, duży neobarokowy kościół, które istnieje współcześnie.

W 1970 r. biskup chełmiński Kazimierz Kowalski, mając na względzie dzieje cudownego obrazu Matki Bożej, ustanowił w tym kościele maryjne sanktuarium. Nowy etap w historii sanktuarium wiąże się z objęciem stanowiska proboszcza kościerskiej fary przez ks. Mariana Szczepińskiego,

dziękana dekanatu kościerskiego. W 1997 r. zwrócił się z prośbą do biskupa Pelplińskiego o nadanie tytułu sanktuarium maryjnego: Matki Bożej Kościerskiej - Królowej Rodzin. Prośba ta została pozytywnie rozpatrzona przez księdza biskupa. Uroczysta koronacja obrazu koronami papieskimi odbyła się w Kościerzynie 16 maja 1998 r. W czerwcu 2002 r. parafia Świętej Trójcy przeżyła koronację XV - wiecznej piety Matki Bożej Bolesnej znajdującej się w kościele sióstr Niepokalanek. Jest to niezwykle przypadek w dziejach Kościoła, aby na terenie jednej parafii znajdowały się dwa sanktuaria.

Dziś neobarokowy kościół mieści dawny historyczny wystrój z wcześniejszych kościołów oraz uzupełnienia. Wnętrze nakryte jest drewnianym stropem. Większość wyposażenia świątyni pochodzi głównie z pierwszej połowy XVIII w. Najstarszym zabytkiem jest późnogotycki obraz „Ukrzyżowanie”, pochodzący z początku XVI w. znajdujący się w prawym bocznym ołtarzu. Okazały ołtarz główny pochodzi z I połowy XVII w., stylem stanowi dowód przejścia z Renesansu w Barok. W bocznej kaplicy kościerskiej fary umieszczony jest obraz Matki Bożej z dzieciątkiem na ręku.

Cudowny obraz...

Od XVII wieku czczony jest tam obraz Matki Bożej zwanej Madonną Kościerską. O niezwykłym kulcie obrazu świadczą liczne pielgrzymki do Sanktuarium Matki Bożej Królowej Rodzin. Obecność obrazu Marii Panny w kościerskim kościele związana jest ze starożytnym Rzymem. W latach 352 - 356 papieżem był Liberiusz. Za jego czasów patrycjusz rzymski Jan, nie mając potomstwa, postanowił wraz z małżonką uczynić Maryję spadkobierczynią swoich dóbr. Oboje modlili się o szczególny znak dla siebie. Zostali wysłuchani. 5 sierpnia w wizji sennej. Najświętsza Maryja Panna każdemu z małżonków z osobna wyraziła swoje życzenie, aby tam, gdzie znajdą po przebudzeniu śnieg, zbudowali kościół ku jej czci. Następnego poranka mąż i żona zobaczyli śnieg na wzgórzu Eskwilińskim. Powiadomili



Arcydzieło rzeźby kamiennej Pomorza czyli Pieta z klasztornej kaplicy. Zarówno okoliczności powstania rzeźby, jak i jej pierwsze miejsce pobytu są nieznane

o tym papieża Liberiusza, który oświadczył im, że miał podobną wizję. Tego samego dnia zebrał duchowieństwo i wiernych Rzymu, urządził uroczystą procesję i wyznaczył miejsce na budowę kościoła. Świątynię wzniesiono po Soborze Efeskim w latach 432-440. W kościele umieszczono obraz Najświętszej Maryi Panny, który według tradycji został namalowany przez św. Łukasza. Obraz nosi też inne tytuły: Matka Boża Śnieżna, Matka Boża Większa, Zbawienie Ludu Rzymskiego.

Wizerunek stał się szczególnie relikwią Rzymu, dlatego nie wolno go było kopiować.

Około 1610 r. w Rzymie przebywał biskup wrocławski, do którego diecezji należała Kościerzyna. Modlił się o ratunek dla pomorskiego ludu, który w tym czasie odchodził od jedności z Kościołem. W czasie modlitwy miał wizję, w której Matka Najświętsza prosi go, aby w kopii rzymskiego obrazu zawiezonego do kościołów swojej diecezji szukał ocalenia dla swoich diecezjan.

Kościerski wizerunek przedstawia Matkę Bożą z Dzieciątkiem ujętą frontalnie w półpostaci, zwróconą lekko w prawą stronę. Dzieciątka siedzące na lewej ręce Matki

trzyma księgę w lewej ręczce a prawą błogosławi. Matka obejmuje Syna dwoma skrzyżowanymi rękoma, w których trzyma chusteczkę. Oboje patrzą wprost na widza. Głowy ich zdobią korony malowane na tle nimbów. Na prawym ramieniu Madonny odzianej w niebieski płaszcz widnieje charakterystyczna gwiazda. Wizerunek ten, powstały w XVII wieku, jest dość wierną kopią obrazu tzw. Matki Boskiej Śnieżnej, znajdującego się w rzymskiej Bazylice Santa Maria Maggiore.

Kościerski obraz składa się z części środkowej o wymiarach 109 x 93 cm, stanowiącej

pierwotny obraz M.B. Śnieżnej oraz doszytych części bocznych powiększających go, na których namalowano później dziewięć kolistych medalionów, z wybranymi scenami różańcowymi połączonych paciorkami. Są to od lewej górnej: „Zwiastowanie”, „Nawiedzenie”, „Boże Narodzenie”, „Chrystus w Ogrójcu”, „Ukrzyżowanie”, „Zmartwychwstanie”, „Zesłanie Ducha Świętego”, „Wniebowzięcie” i „Koronacja Najświętszej Marii Panny”. W górnej części obrazu namalowano także Gołębicę symbolizującą Ducha Św. oraz po bokach po trzy główki anielskie na skrzydełkach. Analiza cech formalnych, pierwotnej kolorystyki, wielkość obrazu pasującego do otworu, daje podstawy do twierdzenia, że obraz i ołtarz stanowią dzieło spójne miejscowego warsztatu artystycznego, powstałe po 1642 roku, tuż po zakończeniu budowy kościoła. Cykl scen różańcowych namalowanych wokół postaci Madonny jest wyjątkiem w dziejach sztuki pomorskiej w I poł. XVII w. Zarówno treść i układ scen różańcowych mogły wywodzić się z kręgu zakonu kartuzów lub cystersów, którzy kultem otaczali Matkę Bożą.

Na przełomie XVII i XVIII wieku, pomimo działań wojennych prowadzonych przez wojska szwedzkie, rosyjskie i polskie oraz ogólnych trudności społecznych i gospodarczych, kult obrazu Maryi w Kościerzynie rozwijał się nadal i umacniał. Dowodem na to było ufundowanie srebrnych szat Madonny i Dzieciątka oraz koron, nałożonych na partie malowane. Szaty posiadają cztery wgłębenia koliste, niezbędne do oglądania w całości scen różańcowych w medalionach, które zachodzą na postacie. Według znaków złotniczych i miejskich Gdańska czas powstania szat i koron można określić między 1699 a 1705 r. Sukienki wykonał mistrz gdański Arnold Lange, tworzący w latach 1699-1724, natomiast korony Jakub Beckhausen, tworzący w latach 1678-1705. Suknia Maryi zdobiona jest w motywy symetrycznych bukietów kwiatowych złożonych z wiotkich listków akantu i dużych stylizowanych różnorodnych

kwiatów. Na głowie welon gładki, drobno pofałdowany. Suknia Dzieciątka także gładka, drobno fałdowana z wzorzystymi rękawami w listki i kwiaty.

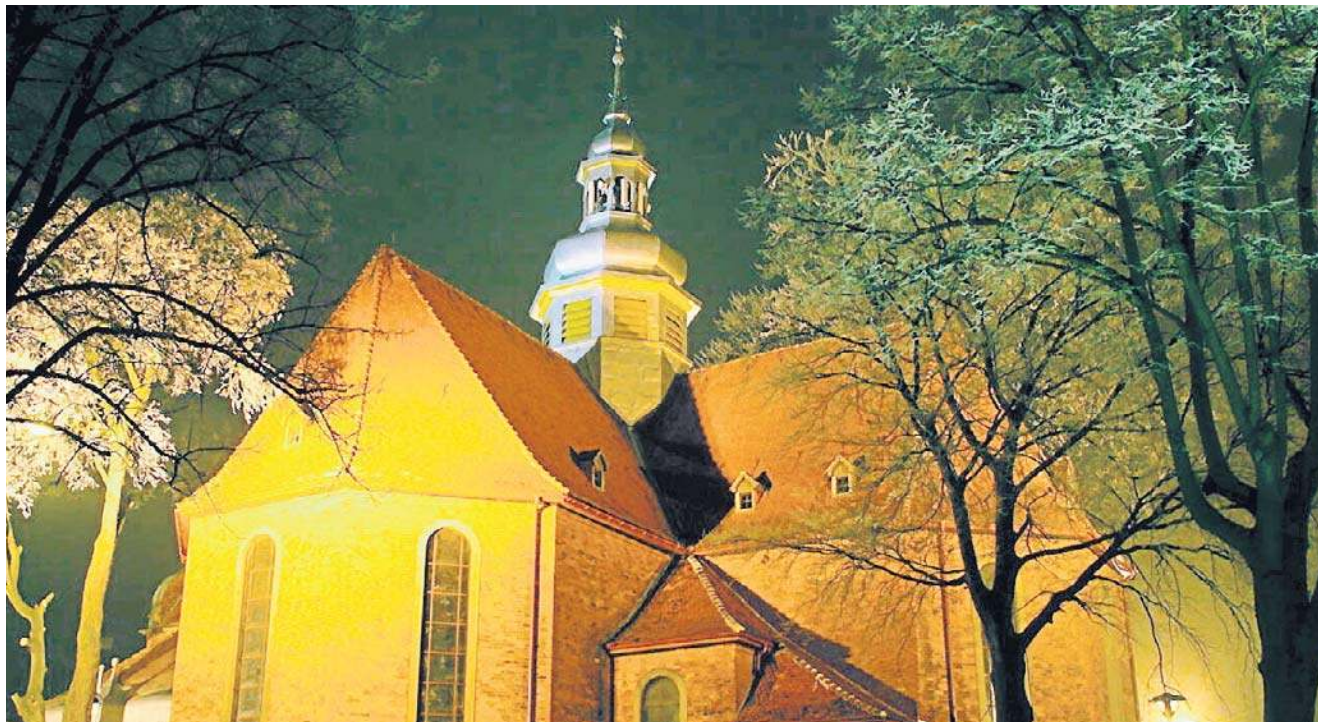
... i rzeźba

Na terenie parafii św. Trójcy, w kościerskiej kaplicy sióstr niepokalanek szczególną czcią otaczana jest Matka Boża Bolesna. Jej wizerunek to gotycka Pieta - arcydzieło kamiennej sztuki pomorskiej z XV w. Zarówno okoliczności powstania rzeźby, jak i jej pierwsze miejsce pobytu są nieznane. Kamienna figura o wadze 50 kg i wysokości 58,5 cm przedstawia siedzącą na tronie zboląłą Maryję, trzymającą na kolanach martwe ciało swego Syna. Rzeźba ta bez wątpienia pochodzi z początku XV wieku i posiada duże walory artystyczne. Wzorowana jest na najlepszych średniowiecznych dziełach artystów europejskich.

Matka Boża siedzi frontalnie na czarnym tronie, z głową zwróconą nieco w lewo. Prawym ramieniem podtrzymuje martwe ciało Chrystusa, złożone na Jej kolanach. Lewą smukłą dłonią trzyma prawą rękę Syna. Wyraz delikatnej twarzy Maryi, pochylonej lekko w stronę twarzy Jezusa, jest smutny. Nieznany artysta przedstawił Ją jako młodą kobietę, ale emanujący z Niej ból wskazuje, jak wiele przeżyła: cała postać Maryi zastygła w cierpieniu. Matka Boża ubrana jest w długi, pofałdowany niebieski płaszcz ze złotą lamówką i gwiazdkami, podbity czerwoną podszewką. Spod płaszcza widoczne są czerwone buciki. Na głowie ma białą chustę ze złotą ząbkowaną lamówką, pofalowaną w drobne fałdki skupione z lewej strony. Układ kolorów - nawiązujący do średniowiecznej symboliki - łączy w postaci Maryi miłość i cierpienie, a także godność królewską (czerwień) z niewinnością i czystością (błękit i biel).

Ciało Chrystusa, wysunięte z lewej strony poza sylwetkę Maryi, pełne bolesnej ekspresji, o wygiętej klatce piersiowej i odchylonej głowie, spoczywa półleżąc na Jej kolanach. Głowa Chrystusa o ciemnobrązowych włosach, w koronie cierniowej, osuwa się ku ziemi. Na twarzy maluje się ból, ale i spokój. Oczy są lekko otwarte. Na nagim ciele widnieją pięć ran po śmierci krzyżowej wraz z wypływającymi z nich kroplami krwi. Biodra okrywa perizonium - białe ze złotą lamówką. Rzeźba - nieduża i misternie wykonana - sprawia wrażenie kruchości i lekkości; aż trudno uwierzyć w jej 50-kilogramowy ciężar.

Autor rzeźby nie jest znany, podobnie jak pierwsze miejsce jej pobytu. Pięta została znaleziona w Chełmnie nad Wisłą,



Kościół pw. Trójcy Świętej to największa, a zarazem najstarsza świątynia w dekanacie kościerskim. Pierwsza wzmianka o parafii kościerskiej pochodzi z 1210 roku

gdzie była zakopana przy „żelaznej bramie” w pobliżu kościoła św. Jana i powierzona siostrze benedyktynkom, które umieściły ją na swoim chórze i otoczyły wielką czcią. O ogromnym kulcie cudownej figury, jaki tam istniał, świadczy fakt, iż w czasie kasaty konwentu benedyktyńskiego w 1822 r. siostry, przenosząc się do swego folwarku w Byśławku, „nic z kościoła nie zabrały”, jedynie łaskami słynącą Pietę, gdyż „tak im była droga, że rozstać się z nią nie chcieli”.

Umocnić ducha narodowego

W Byśławku figurę Matki Bolesnej umieszczono w bocznej kaplicy kościoła, gdzie nadal otoczona była głęboką czcią, tak przez siostry benedyktynki, które codziennie tutaj śpiewały Ją śpiewem Godzinek, jak i przez okoliczną ludność, przychodzącą z potrzeby serca i powierzającą Jej swe troski. Przez wstawiennictwo Maryi alkoholicy zrywali z nałogiem, zwaśnione rodziny jednały się, a smutni odchodziły pocieszeni. W Byśławku sławne też były na całą okolicę odpusty związane z kultem Matki Bolesnej, na które licznie przybywali wierni.

Po śmierci ostatnich sióstr benedyktynek ówczesna przełożona klasztoru Sióstr Miłosierdzia w Chełmnie - Aniela Melszyńska przewiozła figurę Matki Bolesnej z Byśławka na jej dawne miejsce do Chełmna. W 1863 r. siostra została przełożoną nowo powstałego Zakładu Wychowawczo-Naukowego w Kościerzynie, który powstał z inicjatywy polskiego społeczeństwa, zwłaszcza ks. kanonika Juliana Prądzyńskiego i jego siostry Klementyny Łaszewskiej. Celem powołania tego Zakładu miało być umocnienie ducha naro-



Obraz Matki Bożej zwanej Madonną Kościerską. O niezwykłym kulcie obrazu świadczą liczne pielgrzymki do Sanktuarium Matki Bożej Królowej Rodzin

dowego i wiary w polskich rodzinach, przez gruntowne przygotowanie dziewcząt do tych zadań. Siostra, zdając sobie sprawę z wielkiej odpowiedzialności, jaką jej powierzono, szukała pomocy u Maryi. Poprosiła ówczesnego ordynariusza diecezji chełmińskiej, bp. Jana Marwicza o zgodę na przewiezienie łaskami słynącej figury do Kościerzyny. Niedługo potem figurę umieszczono w domowej kaplicy Zakładu, a później - publicznej, po jej wybudowaniu w 1871 r.. U stóp Maryi licznie gromadziły się wychowanki placówki, nauczyciele oraz okoliczni mieszkańcy. Z powodu represji ze strony władz pruskich kilkakrotnie zmieniano się kierownictwo Zakładu, ale nigdy nie doszło do jego zamknięcia. Podczas pierwszej wojny światowej kaplica spełniała rolę kościoła parafialnego, który w tym czasie był w budowie.

W czasie drugiej wojny światowej Pietę ukryto na plebanii w parafii Świętej Trójcy. Ówczesny proboszcz - ks. Mathias Stein, Niemiec, zapewniał wiernych, że miasto ocala, ponieważ Matka Boża Bolesna w szczególny sposób osłania Kościerzynę swym płaszczem. Ksiądz modlił się do niej żarliwie i zachęcał parafian do zawierzenia Jej. Miasto ocalało, a w dowód wdzięczności mieszkańcy Kościerzyny i okolicznych miejscowości w czasie misji parafialnych w 1958 r. oddali Matce Bożej Bolesnej publiczny hołd, dziękując za opiekę i ocalenie miasta podczas obu wojen światowych.

W 1946 r., ówczesny ordynariusz diecezji chełmińskiej, bp Józef Kowalski oddał Zakład kościerski wraz z kaplicą i Matką Bolesną pod opiekę Zgromadzeniu Sióstr Niepokalanek. Prowadziły tu Społeczny Dom Dziecka oraz szkołę podstawową i gospodarczą. Do dnia dzisiejszego wychowankowie związani są z tym miejscem, a ci, którzy opuścili Kościerzynę, wracają sami lub z rodzinami, by złożyć Maryi dziękczynienie.

Kult Matki Bożej Bolesnej rozwija się nadal. Nawiedzają to miejsce nie tylko mieszkańcy Kościerzyny z parafii Świętej Trójcy i Zmartwychwstania Pańskiego, ale także pielgrzymują wierni z sąsiednich parafii oraz z dalszych stron Polski, między innymi z Gdańska, Gdyni, Pelplina, Tczewa, Starogardu Gdańskiego, Poznania, Warszawy, Wałbrzycha, a także z zagranicy. Dowodem tego jest kilkutomowa księga łask i podziękowań oraz kilkadziesiąt wotów wraz z dołączonymi szczególnie podziękowaniami za powrót do zdrowia, pojednanie w rodzinie, nawrócenie, porzucenie nałogu.

© ©

Gdański Ogród Zoologiczny obchodził niedawno swoje 70. urodziny. Ta rocznica dla wielu osób jest okazją do wspomnień. Jedną z nich jest Elżbieta Kuźmiuk, która w oliwskim zoo właściwie się wychowywała dzięki swojej mamie...

OD OLIWY DO AFRYKI. Wspomnienia o gdańskim ZOO

Andrzej Kowalski

Gertruda-Maria Kuźmiuk pracowała ponad 10 lat w gdańskim zoo, od 1965 roku. Była planistką i księgową, ale czasami - jak wspomina jej córka, Elżbieta - miała dość ludzi. Wtedy wychodziła do swych ulubionych zwierząt.

- Ze zwierzętami się przyjaźniała. Kiedy wracała do domu, opowiadała: Dzisiaj karmiliśmy naszego pytona i nie złapał tej kurki. Potem rozdził się jakiś rzadki okaz i było to dla mamy przeżycie, więc spać nie mogła. Cała nasza rodzina przeżywała historie mamy...

Kontakty rodziny ze zwierzętami były więc stałe i częste. Zwłaszcza, jeśli chodziło o pewną lwicę - Igę. Drapieżnik urodził się w 1973 roku w warszawskim zoo, ale odrzucony przez matkę, znalazł swój nowy dom właśnie w Gdańskim Ogródku Zoologicznym.

Kiedy Iga przyjechała do Oliwy miała zaledwie cztery miesiące. Zoo nie wyglądało wtedy jednak tak, jak teraz, a różnica polegała również na kontaktach ze zwierzętami.

- Dzisiaj to w ogóle byłoby niemożliwe. Teraz są inne rygory, inne przepisy i procedury. Wtedy można było wejść do tych zwierząt, dotknąć ich, bawić się z nimi - mówi pani Elżbieta Kuźmiuk.

Spotkać można było także i Igę, spacerującą na smyczy po zoo. Powstało wtedy nawet sławne zdjęcie, w którym siedzi spokojnie w dużej torbie. To właśnie w tej torbie przenoszono, jak wcześniej synka Pani Ireny Markowskiej - plastikowej zoo.

Takie kontakty ze zwierzętami w zoo nie były ówczesną normą na całym świecie. W berlińskich ogrodach zoologicznych kontakty pracowników i zwierząt były bardziej

rygorystyczne i wymagające większej dyscypliny.

Moja mama miała kontakt z innymi parkami i ogrodami.

Zapoznaliśmy się z ogrodami zoologicznymi w Berlinie Wschodnim i Zachodnim, bo stamtąd różne zwierzęta mogliśmy też zdobywać do naszego zoo. Zaprzyjaźniłam się z córką dyrektora i słuchałam jej opowieści, bo oni mieli więcej doświadczenia.

Mieli już boksy dla zwierząt. U nas wszystko było skromnie, ale pięknie. Przyroda tego miejsca wpływała na ludzi i zwierzęta.

One się tutaj bardzo dobrze czuły. Oślice, kiedy się rodziły, miały na przykład sporą przestrzeń i mogły się wybiegać. A tam tego nie było - opowiada Elżbieta Kuźmiuk.

Relacje ze zwierzętami też były inne. Rodzina Kuź-

miuków żyła się z wieloma pupilami zoo, a szczególnie z Igą. Iga natomiast żyła się też z nimi. Jak przekonuje pani Elżbieta, efekt tego widać było nawet po latach.

Dorośla już przyjechała pewnego dnia do gdańskiego zoo, pokazać przyjacielowi z Sudanu swoje ulubione miejsce na ziemi. To było po kilku latach nieobecności pani Elżbiety nad Motławą.

- Mówiłam mu: pokażę ci, gdzie się wszystko zaczęło. Poszliśmy więc do zoo, a był tam wtedy uwielbiany przeze mnie misiu. Przyszliśmy do niego i dosyć głośno rozmawialiśmy. Mój tata, z którym byliśmy, wskazał na kraty dalej. A tam była Iga! Usłyszała mój głos i go rozpoznała. Cała sobą oczami, uszami, ogonem i łapami cieszyła się mocno rozemocjonowana ze

spotkania po latach ze mną. Ze wzruszenia nie mogłam potem odejść od niej - relacjonuje podróżniczka.

Jak się można domyślić, ktoś kto spędził tyle czasu wśród zwierząt w zoo, ma wiele do opowiadania.

Każde zwierzę to także kilka zabawnych historii. Jedną z nich przytrafiła się podczas wizyty jednego z urzędników.

Mieliśmy też w zoo Gwarkę, to był taki szpakowaty ptaszek, który mówił. A mówił idealnie tak po ludzku, lepiej niż papugi. Wszyscy dawali się nabrać. Przyszedł zaproszony pan z Rady Miasta i czekał w sali przyjęć.

Tam był też Gwarek, który cały czas powtarzał teksty w stylu: no głupsi, głupsi Ty! Mówił też inne nawet niecen-

zuralne słowa. Gdy przyszedł pan dyrektor, urzędnik poskarżył się, że ktoś go wyzywał. Trzeba było mu tłumaczyć, że to Gwarek, który później zresztą stał się „gwiazdą” w telewizji.

Pani Elżbieta godzinami potrafi opowiadać, co działo się dawniej w zoo.

O zwierzętach, o ludziach, którzy tam pracowali. Bardzo ciepło wspomina dyrektora Michała Massalskiego czy Danutę Ostojkę. Podkreśla bardzo często także kwestie zdrowotne pobliskiej przyrody, która zapewnia oliwskiemu ogrodu swój specjalny mikroklimat - takiego zdania jest z resztą pani Elżbieta.

To miejsce raz na zawsze odmieniło jej życie. Dzięki Idzie zapalała miłością do Afryki, którą już wielokrotnie odwiedzała.

To uczucie podsycali też liczne lektury pochłaniane wraz z mamą. Z tego kontynentu przywoziła mnóstwo artefaktów i pamiątek. Na swoją kolekcję afrykańską poszukuje w Trójmieście miejsca na muzeum, gdzie oprócz eksponatów mogłaby dzielić się wiedzą i wrażeniami tak z oliwskiego zoo jak i z przemierzonych szlaków afrykańskich. Co zabawne, gdańskie zoo cały czas do niej wracało po latach. Podczas jednej z wypraw na Kilimandżaro spotkała kobietę, która znała jej mamę. Okazało się, że spotkana w tak niezwykłych okolicznościach nieznajoma, to absolwentka Politechniki Gdańskiej (inżynier budownictwa wodnego), która współpracowała przy różnych wodnych projektach i budowie wyspy flamingów w oliwskim zoo.

- Mieszkańcy oliwskiego zoo, jak nasz „Gwarek” szpakowaty gaduła, szympansy: sławny cyklista „Wobo” oraz małuchy „Jacek i Agatka”, słonice „Bonza i Samanta” no i ukochana lwica „Iga”, to byli moi przyjaciele, za którymi tęskniłam, z radością się z nimi bawiłam i chodziłam na spacerki - wspomina Elżbieta Kuźmiuk.

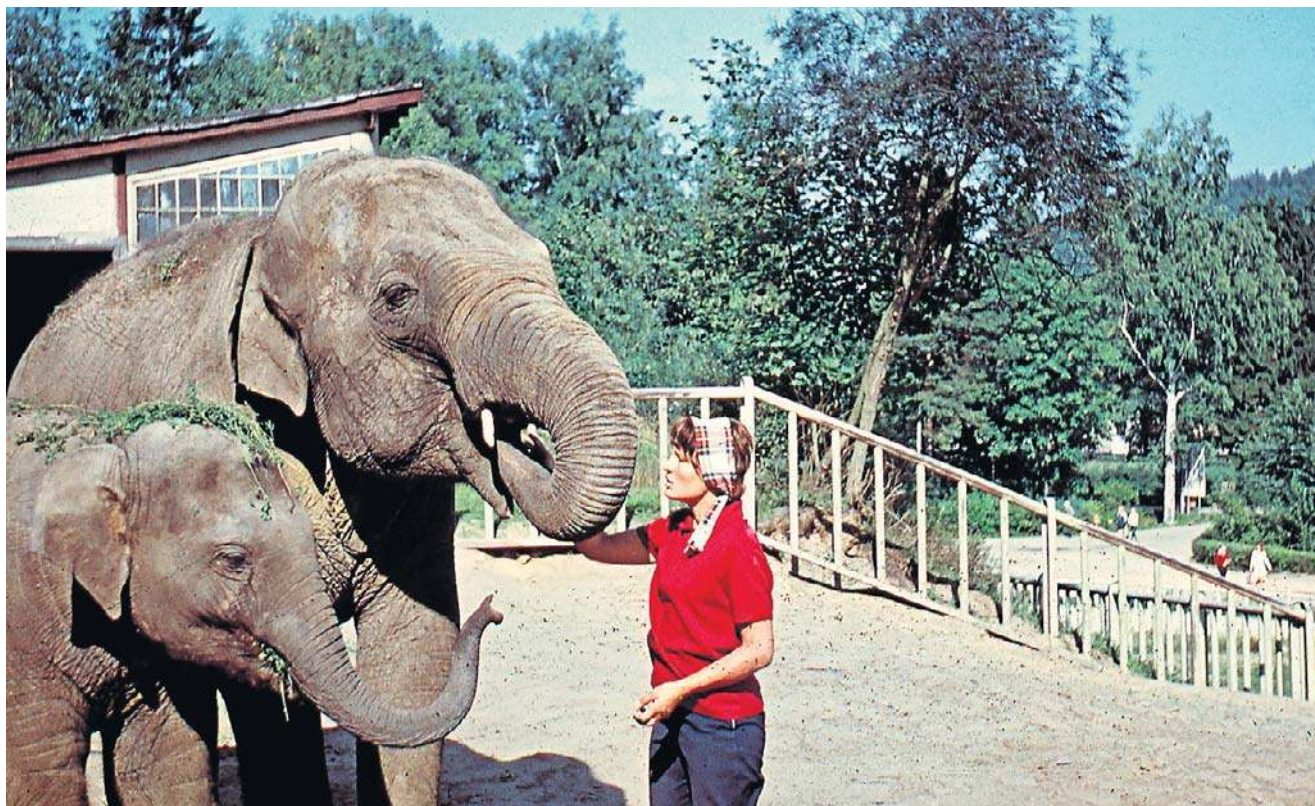
- Dzięki nim wzrastała we mnie chęć poznania ich naturalnego środowiska. Bliskie spotkania i ciekawe rozmowy z wielbicielami egzotycznych zwierząt w polskich i zagranicznych ogrodach zoologicznych ugruntowały moje pasje podróży i ciekawości świata tak flory, fauny jak i człowieka.

To właśnie ci moi towarzysze młodości z oliwskiego zoo zasiali w moim sercu to ziarno, które wykiełkowało później studiami afrykanistycznymi a w rezultacie głębokim poznaniem tego wspólnego kontynentu.

© ©



Gertruda-Maria Kuźmiuk bawi się z nową wówczas mieszkanką ogrodu - lwicą Igą



Dawna pracownica oliwskiego zoo, Danuta Ostojka ze słoniami, Samantą i Bonanzą. To jedna z tych osób, które trwale zapisały się we wspomnieniach naszej rozmówczyni

Poglądowa wizualizacja pierwszej elektrowni jądrowej w Polsce



Polskie Elektrownie Jądrowe

Elektrownia jądrowa pozytywnie wpłynie na zrównoważony rozwój Pomorza

Plany budowy pierwszej elektrowni jądrowej w Polsce cieszą się dużym poparciem. Z ostatniego sondażu przeprowadzonego przez Ministerstwo Klimatu i Środowiska wynika, że prawie 90 proc. Polaków opowiada się za realizacją inwestycji. Nowe źródło energii niesie ze sobą obietnicę nie tylko wzrostu bezpieczeństwa energetycznego kraju, ale także szeregu korzyści dla pomorskich społeczności, mieszkających w bezpośrednim i bezpośrednim sąsiedztwie planowanej siłowni. Zarówno proces budowy, jak i późniejsza eksploatacja znacząco wpłyną na rozwój całego regionu Pomorza.

Rozkwit gospodarczy
Pierwszym zauważalnym efektem będzie rozwój gospodarczy. Budowa elektrowni jądrowej to ogromna inwestycja, która generuje liczne korzyści ekonomiczne dla lokalnej gospodarki. Przede wszystkim przyczyni

się do wzrostu zatrudnienia. Szacuje się, że na etapie budowy elektrowni potrzebnych będzie ponad 8 tysięcy pracowników. Oznacza to pracę nie tylko dla mieszkańców regionu, ale także dla osób z innych części kraju, co będzie skutkowało napływem kapitału na Pomorze. Realizacja inwestycji będzie miała wpływ również na wzrost pośrednich i indukowanych miejsc pracy. Międzynarodowe przykłady realizacji takich inwestycji pokazują, że na 1 pracownika elektrowni przypada około 5 nowych miejsc pracy w innych niż sektor jądrowy branżach. Wpływa to na rozwój lokalnych przedsiębiorstw nie tylko biorących udział w budowie obiektu, ale także z takich branż jak m.in. baza noclegowa, gastronomia, handel czy różne inne usługi, a to przełoży się na długoterminowe korzyści dla regionu i jego mieszkańców.

W związku z budową elektrowni jądrowej planowane są też inwestycje

w tzw. infrastrukturę towarzyszącą. Powstaną nowe połączenia drogowe, linie kolejowe czy sieci wodociągowe. Zwiększenie dostępności komunikacyjnej będzie sprzyjać rozwojowi handlu i usług, a w rezultacie dodatkowo stymulować wzrost gospodarczy. Ponadto może to pozytywnie wpłynąć na rozwój turystyki w regionie. Łatwiejszy dostęp do atrakcji turystycznych oraz możliwość szybkiego przemieszczania się między miejscowościami sprawi, że Pomorze stanie się jeszcze bardziej dostępnym, a więc atrakcyjnym miejscem dla turystów z Polski i z zagranicy.

Korzyści związane z elektrownią jądrową nie kończą się na etapie budowy. Po uruchomieniu elektrowni, dochody z podatków od nieruchomości staną się istotnym źródłem finansowania lokalnych projektów. Gmina Choczewo, gdzie planowana jest lokalizacja elektrowni oraz gminy ościenne mogą spodzie-

wać się znacznego wzrostu wpływów do swojego budżetu, które mogą być przeznaczone na rozwój lokalnej infrastruktury, oferty turystycznej, renowację zabudowy czy na inne, ważne z punktu widzenia mieszkańców projekty. Dodatkowo finansowanie może uczynić Choczewo jednym z najbogatszych samorządów w Polsce, podobnie jak miało to miejsce w Kleszczowie, gdzie działa Elektrownia Bełchatów.

Poprawa jakości życia lokalnej społeczności

Oprócz przyszłych, bezpośrednich korzyści ekonomicznych już teraz inwestor, spółka Polskie Elektrownie Jądrowe, wspiera lokalne inicjatywy poprzez Program Wsparcia Inicjatyw Społecznych. W ramach PWIS możliwe jest dofinansowanie projektów w wielu dziedzinach m.in. związanych z infrastrukturą, kulturą, sportem czy bezpieczeństwem, co przyczynia się do wzrostu atrak-

cyjności regionu dla mieszkańców i turystów, a także do wzmocnienia więzi społecznych. W 2023 roku spółka Polskie Elektrownie Jądrowe udzieliła wsparcia w formie darowizny lub sponsoringu 53 projektom pochodzącym z 13 pomorskich gmin, znajdujących się w regionie lokalizacji elektrowni „Lubiatowo-Kopalino”. W tym roku Polskie Elektrownie Jądrowe ponownie przeznaczyły 2,3 mln zł na ważne dla mieszkańców Pomorza inicjatywy.

Pozytywny wpływ elektrowni jądrowej na środowisko naturalne

Elektrownia jądrowa, z uwagi na niskoemisyjność, bezpieczeństwo, stabilność dostaw energii elektrycznej i niski ślad środowiskowy wpisuje się w działania na rzecz transformacji energetycznej Polski. W porównaniu ze źródłami energii opartymi na paliwach kopalnych elektrownia jądrowa wykazuje znacznie mniejszy wpływ na środowisko natu-

ralne. Jest to istotne zarówno z punktu widzenia walki ze zmianami klimatycznymi, jak i ze względu na poprawę jakości powietrza. Z kolei w porównaniu do równie niskoemisyjnych Odnawialnych Źródeł Energii, energetyka jądrowa zajmuje dużo mniej terenu koniecznego do wyprodukowania 1 MWe. Poza tym elektrownia jądrowa generuje energię w sposób stały, niezależny od warunków atmosferycznych i pory roku. Dzięki temu, pracując w tzw. podstawie systemu, może ona doskonale uzupełniać OZE w krajowym systemie energetycznym. Zgodnie z Polityką energetyczną Polski do 2040 r. polski miks energetyczny będzie oparty na odnawialnych źródłach energii. Ze względu na to, że są to źródła zależne od pogody będą uzupełniane z jednej strony dyspozycyjnymi źródłami energii jak gaz, z drugiej energetyką jądrową, która zapewnia stałą, przewidywalną generację energii elektrycznej do KSE.

O JUNAKU, KTÓRY POBIŁ REKORD

65 lat temu został pobity rekord prędkości na junaku.
Pasjonaci motoryzacji pamiętali o tym wyczynie.



Tablica upamiętniająca rekord szczecińskiego junaka

Marek Jaszczyński

5 kwietnia 1959 roku Franciszek Stachewicz pobił na junaku rekord prędkości Polski. 4 maja 2024 roku przy drodze z Tczewa do Malborka Izabela Stachewicz odsłoniła tablicę upamiętniającą wyczyn męża. Junakowcy zjechali z Wielkopolski, Pomorza, Mazowsza i Pomorza Zachodniego.

Tablica stanęła na terenie Hotelu nad Wisłą, położonego tuż przy drodze, na której junak Stachewicza rozpędził się do 160 kilometrów na godzinę. Nie było łatwo ustalić, na którym odcinku był bity rekord - mówi Zenon Młotek ze Stowarzyszenia Miłośników i Posiadaczy Motocykla Junak SFM w Grodzisku Wielkopolskim. - W literaturze junaka nie ma o tym słowa. Pomógł nam przyjaciel Franciszka Stachewicza, Wojtek Kulesza.

Tablica stanęła przy moście. Do tego mostu od drugiej strony dojeżdżał Stachewicz i tu zawraciał.

Tablicę ufundowali motocykliści ze stowarzyszenia w Grodzisku. Oni też przekonali właściciela hotelu, aby zgodził się na postawienie tablicy w miejscu „z widokiem na most”.

Uroczystość zgromadziła kilkadziesiąt osób przybyłych na ponad 40 motocyklach. Niemal połowa z nich to junaki.

- Dwa dni jechaliśmy, ale zdążyliśmy - cieszyli się junakowcy z Warszawy, którzy dotarli kilka minut po oficjalnej godzinie rozpoczęcia uroczystości.

O wzruszeniu i radości mówiła wdowa po Franciszku Stachewiczu. Wnuk Franciszka - Bartosz Stepanów - wspominał, jak dziadek, zamiast do piaskownicy, zabierał go do warsztatu, do składania silników, jak kupił mu motorynkę, żeby od małego wiedział, czym najlepiej wyjeżdżać na drogę.

Junakowcy z całego kraju zastanawiali się, gdzie tu postawić kolejną tablicę ku czci motocykla ze Szczecina.

Jak to było ze słynnym rekordem?

Jak podaje szczecińskie Muzeum Techniki i Komunikacji, w 1959 r. Franciszek Stachewicz rozpędził junaka jak nikt przed nim i nikt po nim. Nieco przerobiono fabryczny motocykl: rozszerzono gaźnik, zwiększono stopień sprężania silnika, założono owiewki. Próba odbyła się na trzykilometrowym odcinku drogi między Malborkiem

a Tczewem. Junak uzyskał na kilometrowym odcinku 149,3 km/h ze startu lotnego i 102,5 ze startu stojącego. Wydarzenie to zostało uwiecznione przez Polską Kronikę Filmową (PKF 16A z 1959 roku) i tygodnik „Motor” (nr 17 (366) z 26 kwietnia 1959 roku). Rekord ustanowiony został mimo silnego bocznego wiatru (6 stopni Beauforta).

Kim był mistrz na junaku?

Franciszek Stachewicz (ur. 1 września 1933 w Tczewie, zm. 30 listopada 2014 w Gdyni) - był motocyklistą, startującym na zużł, w wyścigach drogowych, motocrossie i rajdach. Pobicie wspomnianego rekordu nie było jedynym wyczynem, który na stałe zapisał się na kartach historii. Zespół fabryczny, w którego skład wchodził Franciszek Stachewicz, z junakiem zdobył w 1962 roku Wielki Złoty Medal FIM Światowych Mistrzostw w Garmisch-Partenkirchen. Medal ten jest równoważny tytułowi fabrycznego mistrza świata.

Było to jedyne takie osiągnięcie polskich zawodników na motocyklu polskiej konstrukcji i produkcji w rywalizacji z czołowymi światowymi producentami w historii. W za-

wodach, zwanych też motocyklową olimpiadą, brały udział motocykle takich marek, jak: Royal Enfield, AJS, BSA, BMW, Gillera, Maico czy Moto Guzzi.

O szczecińskim junaku

Jak mogliśmy dowiedzieć się w Muzeum Techniki i Motoryzacji, motocykl spod znaku Szczecińskiej Fabryki Motocykli narodził się z tęsknoty. Polscy konstruktorzy, pamiętający znakomite przedwojenne sokoły, nie mogli się pogodzić z tym, że na początku lat pięćdziesiątych produkowano w kraju wyłącznie lekkie motocykle dwusuwowe klasy 125 centymetrów sześciennych.

Pracownicy Biura Konstrukcyjnego Przemysłu Motoryzacyjnego w Warszawie pod kierownictwem Jana Ignatowicza zaprojektowali ciężki jednoshład, stylizując go na eleganckie motocykle brytyjskie. Jednak konstrukcja junaka była rodzima. Karol Wójcicki skonstruował silnik, Stefan Poraziński podwozie.

Prototypy junaka M07, pokazane po raz pierwszy w sierpniu 1954 r. na stadionie we Wrocławiu, należały do najlepszych motocykli w Europie.

Długo wybierano miejsce produkcji. W Szczecinie za-



Junakowcy ze Stowarzyszenia Miłośników i Posiadaczy Motocykla Junak SFM z Grodziska Wielkopolskiego. Z prawej Zenon Młotek - pomysłodawca upamiętnienia rekordu Stachewicza, i Rafał Lange, szef stowarzyszenia



Izabela Stachewicz z córką i wnukiem

chowały się hale fabryki Stowery, ale władze PRL niechętnie lokowały strategiczne zakłady przemysłu motoryzacyjnego tak blisko zachodniej granicy.

Na szczęście wybrano nasze miasto i w 1957 roku motocykle trafiły do sprzedaży.

Były drogie. Na początku kosztowały trzysta tysięcy pięćset zł, ale jeszcze w tym samym roku podrożały do 20.000 zł. Motocykl wfm

kosztował wówczas 7 tysięcy, a przeciętna pensja wynosiła 1279 zł.

Od 1957 do 1965 roku wyprodukowano w Szczecinie ponad 91.400 ciężkich motocykli. Niestety, było coraz mniej chętnych na duże maszyny, ich rolę powoli zaczęły przejmować samochody. Junak był drogi. W 1965 roku wyjechały ze Szczecina ostatnie motocykle.

©@

PIEKIELNA ZBRODNIA. ZWYRODNIALCY GODZINAMI TORTUROWALI OFIARĘ

Przeszedł samego siebie - mówią mieszkańcy Rokicin o właścicielu gospodarstwa, który z drugim mężczyzną usłyszał zarzut zabójstwa ze szczególnym okrucieństwem. Ofiara to Ukraińiec. Sprawcy godzinami mieli pastwić się nad nim. Zabili, a ciało ukryli w budynku gospodarczym i podpalili.

Sylvia Lis

Ta zbrodnia zbulwersowała mieszkańców niemal całego Pomorza, a w szczególności gminy Czarna Dąbrówka, gdzie leży Rokiciny - niewielka wieś licząca około 300 mieszkańców. Właściciel jednego z gospodarstw miał w brutalny sposób zamordować swojego pracownika - obywatela Ukrainy. Zarzuty usłyszał też drugi mężczyzna. Szczegóły zbrodni są szokujące. W tle jest przemoc rodzinna, mafijne układy i ogromne pieniądze. Ogień miał ukryć zbrodnię.

Wszystko zaczęło się od pożaru.

- Zgłoszenie wpłynęło do nas w minioną niedzielę po godzinie piątej rano - mówi Fryderyk Mach, komendant straży pożarnej w Bytowie. - Do gaszenia ognia wysłano osiem zastępów straży pożarnej. Na miejscu okazało się, że pali się budynek gospodarczy, murowany, kryty blachą. W przylegającym budynku także paliła się elewacja. Z informacji uzyskanych od osób postronnych nie wynikało, aby w środku miał się ktoś znajdować! Natomiast podczas przeszukiwania obiektu i dogaszanie

pozostałości pożarowych znaleziono ciało człowieka.

Do pracy przystąpili policyjni specjaliści wraz z łębską prokuraturą. Wszystko wskazywało na to, że znaleziony w pogorzelisku 48-latek, jak się okazało, pracownik z Ukrainy, padł ofiarą brutalnej zbrodni, a ogień podłożono celowo, aby zatrzeć ślady zabójstwa.

- Bytowscy śledczy wraz funkcjonariuszami Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego oraz Laboratorium Kryminalistycznego KWP w Gdańsku pod nad-

Dokończenie na str. 16



Pożar budynków w Rokicinach w gminie Czarna Dąbrówka. W środku odnaleziono ciało mężczyzny

FOT. PAŃSTWOWA STRAŻ POŻARNA W BYTOWIE

AUTOPROMOCJA

0111081102

Zawody Rowerkowe w Rumi. Zapraszamy!



FOT. JAKUB STEINBORN



Monika Latkowska
Rumia

Ponad 200 zapisanych dzieci, które już 25 maja spotkają się na stracie kolejnych zawodów rowerkowych. Tym razem widzimy się przed Port Rumia. Nadal czekamy na zgłoszenia dzieci.

- Super impreza. Bardzo dziękujemy za udział. Niesamowite emocje przed startem, ale po jego zakończeniu jeszcze większe - mówiła Joanna, mama 3-letniego Antka z Rumi. Tak opowiedli nam rodzice po ubiegłorocznych zawodach. - W wyścigach dla dzieci chodzi przede wszystkim o dobrą, wspólną zabawę dla rodziców

i ich pociech. W Port Rumia spotykamy się po raz drugi i zapewniam, że i w tym roku nie zabraknie wielu atrakcji i emocji. - mówiła Katarzyna Głodek z działu realizacji projektów Dziennika Bałtyckiego.

W zawodach mogą wziąć udział dzieci bez względu na to czy już mają opanowaną jazdę na rowerze czy dopiero zaczy-

nają swoją przygodę z dwoma kółkami.

Warunkiem uczestnictwa jest wypełnienie formularza zgłoszeniowego dostępnego na stronie: www.dziennikbaltycki.pl/rower-kirumia Zapisy trwają do 22 maja do północy lub do wyczerpania limitu miejsc. Warto się pospieszyć bo mamy już zapisanych ponad 200 dzieci.

Zawody rozpoczniemy o godzinie 10:00, kiedy to zaczniemy wydawać numerki startowe każdemu uczestnikowi. O godzinie 11:00 wystartują najmłodsze roczniki, gotowe do pokonania swoich pierwszych rowerowych metrów! Pamiętajcie, że do zawodów przystąpią dzieci, które będą posiadały kask.

Bez względu na wynik, każde dziecko odbierze zasłużony medal, dyplom i stanie na podium, gdzie zrobimy mu zdjęcie. U nas nie ma przegranych, każdy uczestnik zostanie uhonorowany za swoje wysiłki i determinację! Oprócz emocjonujących zawodów rowerowych, czekać na Was będą również inne niezwykle atrakcje.

ORGANIZATOR

Dziennik
Bałtycki

PARTNER
LOKALIZACYJNY



PARTNER

Lodo
Stany

PARTNERZY WSPIERAJĄCY



ZWYRODNIALCY GODZINAMI TORTUROWALI OFIARĘ



FOT. KOMENDA POWIATOWA POLICJI W BYTOWIE

Bardzo szybko po pożarze, który ujawnił zwłoki, zatrzymano podejrzanych

Dokończenie ze str. 15



REKLAMA

0011088124

OGŁOSZENIE

Zarząd Morskiego Portu Gdańsk S.A. z siedzibą w Gdańsku pod adresem: ul. Zamknięta 18, 80-955 Gdańsk, wpisany do rejestru przedsiębiorców Krajowego Rejestru Sądowego, prowadzonego przez Sąd Rejonowy Gdańsk – Północ w Gdańsku, VII Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego pod numerem KRS 0000040398; o numerze NIP: 5832461866 (dalej jako „ZMPG”) zaprasza do udziału w postępowaniu przetargowym nr 3/SRH/2024 na oddanie w najem zabudowanej nieruchomości gruntowej o powierzchni 2.398,00 m², zlokalizowanej w Gdańsku przy ul. Oliwskiej.

Postępowanie jest przetargiem publicznym w formie licytacji.

Szczegółowe warunki postępowania zostały określone w dokumentacji przetargowej, która jest udostępniona wraz z ogłoszeniem na stronie internetowej ZMPG: <https://przetargi.portgdansk.pl/> (dalej jako „Dokumentacja”).

Podmioty zainteresowane udziałem w postępowaniu powinny złożyć Wniosek o dopuszczenie do przetargu na formularzu zgodnie z warunkami określonymi w Dokumentacji.

Termin składania Wniosków o dopuszczenie do przetargu upływa w dniu 31 maja 2024 r. o godz. 12:00.

Przeprowadzenie licytacji nastąpi w dniu 14 czerwca 2024 r. i rozpocznie się o godz. 12:15 w siedzibie ZMPG w sali nr 305 A.

ZMPG jest uprawniony do odwołania przetargu oraz do zmiany warunków przetargu bez podania przyczyn.

Ogłoszenie ma na celu wyłącznie zachęcenie potencjalnych najemców do udziału w przetargu i nie stanowi oferty w rozumieniu art. 66 Ustawy z dnia 23 kwietnia 1964 r. Kodeks cywilny.

zorem prokuratora rejonowego z Łęborka zabezpieczyli wiele śladów oraz dowodów.

Ich wielogodzinna żmudna praca przyniosła efekty - mówi o szczegółach Dawid Łaszcz, oficer prasowy bytowskiej policji. - Jeszcze tego samego dnia zatrzymano do sprawy zabójstwa trzy osoby.

Dwóch mężczyzn, 37- i 34-latek, usłyszało zarzuty zabójstwa ze szczególnym okrucieństwem w wyniku motywacji zasługującej na szczególne potępienie. Policjanci ustalili, że podejrzani nie działali jednak sami.

Trzecia zatrzymana przez policjantów osoba, 35-letnia kobieta, usłyszała zarzuty nieudzielenia pomocy osobie będącej w niebezpieczeństwie utraty życia lub zdrowia oraz zarzut zacierania śladów przestępstwa.

W stosunku do wszystkich zatrzymanych sąd zastosował tymczasowe aresztowanie na trzy miesiące.

Mężczyznom grozi kara nawet dożywotniego pozbawienia wolności, zaś kobiecie do pięciu lat więzienia.

37-latek, właściciel gospodarstwa, według naszych informacji nie przyznał się do winy, 34-latek natomiast tak i złożył obszerne wyjaśnienia.

Kobieta to żona pierwszego podejrzanego.

- Do części zarzutów się przyznała - mówi Patryk Wegner, prokurator rejonowy z Łęborka. - Potwierdziła, że zacierала ślady przestępstwa, ale nie przyznała

się do nieudzielenia pomocy ofierze.

Według naszych ustaleń przebieg zabójstwa utrwalono na monitoringu działającym na terenie gospodarstwa. Żona sprawcy miała jednak usunąć film.

Kim są sprawcy?

Małżeństwo ma dwoje dzieci w wieku 8 lat oraz 6 miesięcy, które obecnie znajdują się pod opieką dziadków. Prokuratura złożyła wniosek do sądu, aby ten zdecydował o losie dzieci. Ze względu na ich dobro zarówno policja, jak i prokuratura, nie chcą podawać zbyt wielu szczegółów śledztwa.

Rodzina prowadziła w Rokicinach bardzo duże gospodarstwo. Ostatnio zajmowali się hodowlą bydła i sprzedają mięsa.

Mieszkańcy całej gminy Czarna Dąbrówka są wstrząśnięci.

W zasadzie o niczym innym się nie mówi.

- Tym razem ten gość przeszedł samego siebie - kręci głową kobieta mieszkająca w jednej ze wsi w gminie Czarna Dąbrówka. - Wiedzieliśmy, że jest nieobliczalny, ale żeby aż tak! Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Jego ojciec zawsze robił burdy, każda impreza kończyła się rękoczynami, taki wariat, szczególnie jak za dużo wypił. Syn jest taki sam.

Nikt dłużej u niego nie pracował, jednego z pracowników z widłami gonił! Zatrudniał Ukraińców, którzy robili przy bykach, źle ich traktował. Pani! On zawsze zajmował się jakimś handlami, handlował wszystkim, wódką, rowerami, kiedyś służby zarekwirowały mu cały tir spirytusu. Współpracował z jakimś szemranymi ludźmi, nie rozliczał się, przyjeżdżał i straszył podpaleniem domu.

Ta jego żona miała ciężkie życie, miodu nie miała, mówią, że i ona przez niego cierpiała, bała się być sama w domu, czasem ojciec przyjeżdżał i siedział z nią. On ma dużo pieniędzy, ciekawe, czy znowu się wywinie? Ma dobrych prawników.

Bogaci ludzie, serca brak

Cała okolica trzęsie się od plotek. Co tak naprawdę wydarzyło się w niedzielnej nocy na podwórku gospodarstwa? Prawda znajduje się w prokuratorskich aktach.

- Ludzie mówią, że właściciel gospodarstwa oskarżył tego pracownika o kradzież - mówi nam

jeden z sąsiadów. - Ukraińiec się nie przyznawał. Ten godzinami go bił, kopał, kaleczył, maltretował tak, jak można to zobaczyć tylko na filmach (tu padają wyjątkowo drastyczne szczegóły, o których nie możemy pisać - dop. red). Na koniec miał go podpalić, a ciało ukryć w budynku, który również stanął w ogniu. Gdy to mówię, aż mam ciarki... Szkoda mi tylko tej kobiety, myślę, że ona jest niewinna. To dobra matka, ona była przez niego zastraszona, pewnie kazał jej zcierać ślady.

Słów dotyczących torturowania nie potwierdzają śledczy, można się domyślać, że ze względu na dzieci i najbliższych, jednak prokurator dodaje: - Sprawa jest tak drastyczna, szczegóły są tak wstrząsające, że dla dobra prowadzonego postępowania nie mogę powiedzieć nic więcej.

Powściągliwość śledczych jest zrozumiała, ale sam zarzut mówi sam za siebie. Przypomnijmy: zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem oraz w wyniku motywacji zasługującej na szczególne potępienie. W tym przypadku kara jest znacznie wyższa niż w przypadku „zwykłej” zbrodni, bo od 15 do 30 lat więzienia albo dożywocie. Można zakładać, że śledczy mają twarde dowody potwierdzające ich zarzuty.

O sprawie rozmawialiśmy też z jednym z miejscowych policjantów.

- W mojej kilkunastoletniej karierze czegoś takiego nie widziałem, a sporo tych spraw było - zamyśla się funkcjonariusz. - Tego normalny człowiek by nie wymyślił...

Badania biegłych

Zatrzymanych z pewnością będą badać biegli psycholodzy i psychiatry. Od ich opinii będzie zależała wysokość kary.

- Kiedy słyszymy o przerażających czynach, przekraczających nasze wyobrażenia i budzących trwogę, najczęściej myślimy, że takich zachowań dopuścić się może wyłącznie mocno zaburzona psychicznie osoba - komentuje Katarzyna Wirkus, psychotraumatolog.

- Tak może być, choćbywa, że ze szczególnym okrucieństwem drugiego człowieka może potraktować ktoś, kto jest skrajnie zdemoralizowany, nie respektuje zasad społecznych i z premedytacją je łamie, mając pełną świadomość i potrafiąc odróżnić dobro od zła.

©©

SZUM FAL I TEATR W WIETRZNYM MIEŚCIE

Krzysztof Babicki – dyrektor naczelny i artystyczny Teatru Miejskiego im. Witolda Gombrowicza w Gdyni, reżyser wielu wybitnych spektakli, otrzymał Artystyczną Nagrodę Prezydenta Miasta Gdyni - Galion Gdyński 2023 za Całokształt Twórczości

Grażyna Antoniewicz

Lubię w Gdyni przede wszystkim to, że jak się wysiada z samochodu, czy z pociągu na dworcu przyjeżdżając z Polski centralnej, to jest czym oddychać - mówi Krzysztof Babicki. - Gdynia jest wietrzną, ale bardzo otwartym miastem i myślę, że wiele osób czuje się tu świetnie. Często pracuję od dziesiątej do dwudziestej drugiej, więc kiedy mam krótką przerwę w teatrze między biurem, a wieczorną próbą, to bez względu na pogodę idę na długi spacer w dół ulicą Piłsudskiego, a potem brzegiem morza (na brzeżem), aż do Teatru Muzycznego, i to jest wspaniałe - taka godzina bycia w innym świecie, niż w murach teatru. Jest morze, niebo, szum fal i myślę, że nie ma takie miejsca w Polsce, które by było podobnie usytuowane jak nasz teatr.

To widzowie nadają mu sens

Po latach pracy w teatrze Krzysztof Babicki doskonale wie, że to widzowie nadają mu sens. Niezmiennie powtarza, że teatr, który pogardza widzami nie ma racji bytu. Gdy zaczynał swój pierwszy sezon w gdyńskim Teatrze Miejskim frekwencja wynosiła ledwie 18-30 proc.

- Byłem ogromnie zaskoczony, gdy po dwóch latach okazało się, że gdyńska publiczność wypełnia widownię w osiemdziesięciu procentach. Nie spodziewałem się, że widzowie tak szybko wrócą do teatru - wspomina - Dzisiaj frekwencja jest 100-procentowa.

Wśród przedstawień, szczególnie mi bliskich jest „Idąc rakiem” Güntera Grassa w adaptacji Pawła Huelle przedstawienie, które przez 10 lat, zawsze miało pełną widownię.

- Spektakle, które uważam za wyraz dojrzałości zespołu to „Lot nad kukułczym gniazdem” i „Dziady” - opowiada Krzysztof Babicki. - Zarówno „Lot” jak i „Dziady” to takie przedstawienia, w których reżyser mógłby wszystko powymyślać, ale by nie zaistniały, gdyby nie dojrzałość zespołu aktorskiego.

Mrozek na R@Port

W gdyńskim teatrze, za jego dyrekcji nie tylko autorzy pisali



Po latach pracy w teatrze Krzysztof Babicki doskonale wie, że to widzowie nadają mu sens. Wręczanie nagrody Galion Gdyni 2023 za Całokształt Twórczości

sztuki dla tej sceny, reżyserowali znakomici twórcy: Tadeusz Bradecki, Leszek Mądzik, i inni, ale też bywali wybitni goście, tacy jak Günter Grass, czy Sławomir Mrożek.

- Bogdana Cioska dyrektor Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych R@Port realizował wcześniej sztuki Mrożka i bardzo dobrze go znał prywatnie, a także jego żonę Suzanne - opowiada Krzysztof Babicki. - Natomiast ja Mrożka poznałem w 2005 roku, kiedy reżyserowałem „Miłość na Krymie” w Lublinie. Był on wtedy po swoich problemach zdrowotnych, ale przyjechał na premierę. Pamiętam, jak po spektaklu wstał bijąc brawa, potem wszedł na scenę. To był wielki dzień dla całego teatru i dla mnie też, więc kiedy Bogdan wspominał, a może by tak Mrożka zaprosić na R@Port zgodziłem się z entuzjazmem. Umówiliśmy się z Mrożkiem w Warszawie, chyba w Hotelu Europejskim, na kawę. Dał się przekonać, pomogła nam żona Mrożka, która powiedziała: Sławek, ty musisz być na bieżąco z tym, co się dzieje w teatrze.

która powiedziała mu Sławek, to musisz być na bieżąco z tym, co się dzieje w teatrze. I ja to rozumiem, bo ja nie muszę realizować na podobieństwo młodych reżyserów takiego samego teatru a Brożek nie będzie pisał tak jak pisze większość uczestników Gdyńskiej nagrody dramaturgicznej, ale myślę, że jest jakaś jedna wielka wspólnota pokoleń. Myślę, że tak to rozumiał, dlatego się zgodził.

Mrożek podczas pobytu w Gdyni upodobał sobie mój gabinet. Przynoszono mu obiady z teatralnego bufetu. Pamiętam, że kiedy przynieśli żurek dosyć już wychłodzony, jego żona, powiedziała, ten żurek, to już jest taki trochę dziwny. „To co z tego, zjem go jako chłodnik” - odpowiedział z uśmiechem Mrożek.

- Z tą wizytą związana jest zabawna anegdota. Pewnego dnia Mrożek, powiedział: Słyszałem panie Krzysztofie, że pan robił „Tango” w Poznaniu, czy nie chciałby pan do tej sztuki” wrócić? Odpowiedziałem: - Panie Sławomirze, powiem szczerze, że „Tango”

uwielbiam, ale strasznie mnie drażni ta scena teatryku Stomila. - To niech pan weźmie jakieś moje opowiadanie, albo jednoaktówkę i zastąpi nim „teatryk Stomila” - zaproponował Mrożek. Pomyślałem wtedy, a gdyby tak zrobić jednoaktówkę „Na pełnym morzu” - I nagle to dało nam prawo a nie było uzurpacją grania pod pokładem „Daru Pomorza”.

Pod pokładem

Spektakle wystawiane są bowiem nie tylko w budynku przy Bema 26, czy na Scenie Letniej w Orłowie, ale również pod pokładem najpiękniejszego polskiego żaglowca-muzeum „Dar Pomorza”. Sztuki specjalnie dla tej sceny pisał Paweł Huelle, który od 2011 roku związany był z Teatrem Miejskim im. Gombrowicza, a reżyserował je Krzysztof Babicki.

W uzasadnieniu nagrody czytamy; „Babicki i Huelle stworzyli mocny, charakterystyczny, rozpoznawalny styl opowiadania w teatrze o ludziach zdeterminowanych historią, bezbronnych wobec wspaniałości i okrucieństwa świata, który sami kreują własnymi wyborami.”

Reżyser i dramaturg wspólnie zrealizowali na „Darze Pomorza”: „Idąc rakiem” na podstawie Güntera Grassa (premierą odbyła się 13 maja), „Żółtą łódź podwodną”, „Kursk” oraz „Jądro ciemności” Conrada.

- Nie wiem, czy to był mój czy Pawła pomysł, zapewne wspólny, żeby pod pokładem „Daru Pomorza” zrobić czwartą scenę teatru. I tak od kwietnia do października gramy tam regularnie przedstawienia, w większości są to sztuki Pawła. W moim prywatnym nazewnictwie jest to scena Pawła. 9 czerwca, mija pół roku od jego śmierci, dlatego chcemy zrobić taki spektakl galowy na „Darze Pomorza” i zagrać „Kursk”, który wciąż jest w repertuarze.

Scena pod pokładem cieszy się wielkim powodzeniem.

- „Jądro ciemności”, często musieliśmy grać dwa razy dziennie o godz. 20 i godz. 22. Myślę, że jest to zasługa Conrada, ale chyba też miejsca, bo o godz. 22.00 ustawiała się ko-



Premiera „Dziadów” Adama Mickiewicza odbyła się z okazji 60-lecia gdyńskiej sceny 14 grudnia

Dokończenie na str. 18

Galion Gdyński 2023 dla Krzysztofa Babickiego

Dokończenie ze str. 17

lejka przed trapez na „Dar Pomorza”, coś fascynującego zupełnie - mówi dyrektor

- Co do wizyty noblisty, Güntera Grassa zjawił się w 2012 roku, kiedy zrobiliśmy z Pawłem „Idąc rakiem” - wspomina Krzysztof Babicki. - Zjawił się wtedy z żoną i z wnukiem. Przyszedł i zapowiedział, że zaraz po spektaklu musi jechać, a jednak, został i potem rozmawiał ze wszystkimi aktorami. Był zachwycony, powiedział Pawłowi, że sam by takiej sztuki nie napisał. Wszyscy próbowali mówić z nim po angielsku, ale ja miałem wrażenie, że wiele polskich słów też rozumiał.

„Idąc rakiem” Güntera Grassa, to, trochę gdyńska powieść, bo „Wilhelm Gustloff” w 1945 roku wypłynął. Statek wypłynął w swój ostatni rejs z Gdyni z kilkunastoma tysiącami ludzi na pokładzie. Spektakl graliśmy jeszcze do zeszłego roku, ale z powodu odejścia aktora na emeryturę sztuka zeszała z afisza - mówi dyrektor.

Czas pandemii

- Najgorszy okres dla teatru to był czas pandemii - opowiada dyrektor. - Kiedy nagle widownia teatru musiała być ograniczona do 25 procent. Pamiętam premierę na Małej Scenie, graliśmy sztukę „Anastazja wychodzi za mąż” według Dostojewskiego, zamiast 100 osób, na widowni w tych białych maskach siedziało 25 widzów, to był teatr w teatrze, wyglądało to upiornie. Sam Dostojewski, by tego nie wymyślił, na widowni ludzie w maskach, a na scenie Myszkini i Nastazja. Czas pandemii był zabójczy finansowo dla teatru, bo przecież dochody były żadne.

Optymistyczne marzenie

Chcesz Pana Boga rozśmieszyć to powiedz, jakie masz marzenia, mawia się, a jednak pytamy, jakie marzenia ma dyrektor Babicki?

- Dzisiaj mi się marzenie pojawiło, bo otrzymałem potwierdzenie rezerwacji mojego pobytu w Tatrach, bo jak wiesz jestem zapalonym taternikiem



FOT. DAMIAN KRAMSKI

29 czerwca 2012 r., z okazji 85. urodzin Güntera Grassa na Darze Pomorza odbyła się galowa premiera przedstawienia „Idąc rakiem” w adaptacji Pawła Huellego

i jedyna organizacja, do której należę to jest Polski Związek Alpinizmu, w którym jestem od siedemdziesiątego ósmego roku (Klub Wysokogórski Trójmiasto). Dostałem to potwierdzenie i rozmawiałem o tym ze swoim siostrzeńcem, z którym chodzę po górach.

Powiedział: „Słuchaj, my musimy zrobić absolutnie w tym roku Grań, z Doliny Ciężkiej wejście na Wysoką”. - Jezus Maria, przecież on jest młodszy ode mnie o 30 lat - westchnąłem, ale potem pomyślałem sobie: „Cholera, a może by się tak dało zrobić, żeby wejść na prze-

łącz Waga, a stamtąd na Wysocką od dołu zupełnie”. I to są takie marzenia, wiesz może niepoprawne, nadmiernie optymistyczne, bo już trochę lat tam, ale jeszcze cały czas tymi górami żyję i to jest dla mnie niesamowite odbicie od teatru. ©©

CV

Krzysztof Babicki ma w swoim dorobku ponad 100 wyreżyserowanych spektakli teatralnych i ponad 20 realizacji w Teatrze Telewizji. Wśród nich nagradzane, głośne spektakle „Idąc rakiem” Güntera Grassa - Nagroda Teatralna Marszałka Województwa Pomorskiego dla najlepszego przedstawienia roku 2012, „Lot nad kukułczym gniazdem” Dala Wassermana za który otrzymał w 2017 Nagrodę Teatralną Marszałka Województwa Pomorskiego w kategorii „najlepsza reżyseria”. W 2023 roku otrzymał Nagrodę Marszałka Województwa Pomorskiego za spektakl „Pułapka”. Laureat wielu innych nagród na festiwalach teatralnych, m.in. Nagrody im. Konrada Swinarskiego oraz Nagrody im. Stanisława Wyspiańskiego.



Dariusz Olejniczak

Lbliża się okrągła, dziesiąta rocznica oficjalnej premiery portalu dedykowanego wszystkim, którzy Gdańsk znają, kochają i wiedzą o nim bardzo dużo, oraz tym, dla których Gdańsk jest miastem mało znanym, w którym wciąż jeszcze jest bardzo dużo do odkrycia. Chodzi rzecz jasna o najpełniejszy zasób wiedzy o stolicy Pomorza, czyli Gedanopedię. Jej premiera odbyła się 26 lipca 2014 roku, ma się rozumieć w Gdańsku, podczas IV Światowego Zjazdu Gdańszczan.

Uroczysta rocznicowa feta, z udziałem ponad setki współtwórców tego przedsięwzięcia, władz miasta, przedstawicieli Fundacji Gdańskiej i nie tylko, została zorganizowana rok temu. Upamiętniono dekadę mijającą wówczas od chwili rozpoczęcia prac nad encyklopedycznym wirtualnym zbiorem wiedzy o Gdańsku i jego mieszkańcach. Czy była to lepsza i god-

Lapacz słów Gedanopedia do renowacji

niejsza okazja niż ta, która teraz się nadarza - 10-lecie oficjalnego startu portalu - najprawdopodobniej jest to sprawa drugorzędna. Uważam jednak, że zbliżająca się lipcowa rocznica to dobry moment, by Gedanopedii poświęcić chwilę uwagi, nawet jeśli wszelkie urodzinowe uroczystości dawno już za nami.

Zarówno strona Gedanopedia.pl oraz jej papierowy pierwowzór - wydana w roku 2012 Encyklopedia Gdańska - to tysiące haseł, miliony użytkowników w internecie i wyprzedany nakład wersji papierowej - jednym słowem sukces projektu, dekada doświadczeń i... No właśnie? Co dalej z Gedanopedią?

Dziesięć lat w świecie mediów wirtualnych to jak cała epoka. W przypadku gdańskiej encyklopedii internetowej widać to całkiem wyraźnie. Zwłaszcza jeśli chce się z niej zaczerpnąć wiedzy za pośrednictwem smartfona. Przecież dziś to właśnie smartfon jest bodaj najważniejszą i najczęściej wykorzystywaną formą „komputera osobistego”. Tymczasem po wejściu na stronę główną Gedanopedia.pl (ta jest jesz-



FOT. PRZEMEK SWIDERSKI

Kładka wiodąca na przystanek SKM Gdańsk-Stocznia, który doczekał się swojego hasła w Gedanopedii

cze całkiem znośna), po wpisaniu w wyszukiwarkę poszukiwanego hasła zostajemy przekierowani do... bliźniaczej wersji strony, jaką możemy otworzyć na ekranie laptopa. Owszem, niby wszystko tam jest co trzeba - ale podstawową funkcjonalnością „telefonicznych” wersji stron internetowych jest ich responsywność, czyli zdolność przysto-

sowywania się do formuły odbioru tekstu i obrazu lub filmu za pośrednictwem ekranu smartfona. Niestety, Gedanopedia otwierana za pośrednictwem telefonów jest mało czytelna (utrapienie stanowi niedostosowana wielkość czcionki), przyciski i zakładki są widoczne dopiero po ich powiększeniu, a zdjęcia najczęściej nie dopasowują się

do wielkości ekranu. To niby niewiele, jednak robi ogromną różnicę. W porównaniu z telefoniczną wersją Wikipedii...

No właśnie - Wikipedia ma własną aplikację na smartfony, dlatego Gedanopedia nie miałaby mieć podobnej? Skoro w ciągu roku korzysta z niej kilka milionów ludzi? Jestem pewny, że osadzenie Gedanopedii w „apce” zachęciłoby internautów do korzystania z jej zasobów. A warto o to zadbać, bo Gedanopedia to był wyjątkowy.

Jako się rzekło, najpierw była wydana 12 lat temu Encyklopedia Gdańska. W jej przypadku żadna okrągła rocznica się nie zbliża, bo 15-lecie publikacji jeszcze daleko przed nami - w roku 2027. Czy jednak trzy lata to nie jest dobry czas na przysmarę do wydania drugiego, uzupełnionego? Przez ostatnich piętnaście lat wydarzyło się w Gdańsku wiele rzeczy dobrych i złych, wśród nich tragedia, która odmieniła historię miasta. Są też jednak takie momenty, jak miesiące po wybuchu wojny na Ukrainie, kiedy mieszkańcy miasta okazali spontaniczną i bezinteres-

owną pomoc uchodźcom wojennym (głównie kobietom i dzieciom), kiedy cały łańcuch ludzi dobrej woli organizował się oddolnie, ale i we współpracy z działającymi w mieście instytucjami. Są inwestycje, wydarzenia i postaci zasługujące na to, by rzetelną wzmiankę o nich zawrzeć na stronach drugiego, uzupełnionego wydania Encyklopedii Gdańska.

Po co komu papierowe tomszyskie, skoro wszystko można zmieścić w wirtualnej przestrzeni Gedanopedii? Cóż, niektórzy ludzie nade wszystko cenią sobie słowo wybite na białych kartach farbą drukarską. Jest ich całkiem sporo i dobrze, że są. Zresztą wszystko, co wartościowe, powinno mieć również szlachetną oprawę...

Zdaje sobie sprawę, że to, o czym piszę, wymaga, poza zaangażowaniem i pracą dziesiątek osób, jednego - pieniędzy, a Gedanopedia nie jest najważniejszą potrzebą miasta. Polecam jednak ten tekst życzliwej uwadze tych, którzy mogą ocenić zasadność i realność zawartych w nim postulatów. ©©

PAPIEŻ
JAN PAWEŁ II.
JAKI WIZERUNEK
PO LATACH?
CO ZOSTAŁO
Z JEGO
ZNACZENIA
W POLSCE?

– Papież nie był politycznym graczem. Jego rola sprowadzała się do inspirowania innych, że warto stanąć w prawdzie – mówi George Weigel, biograf Jana Pawła II.
Str. 20-21

PULS

#112

- Papież nie był politycznym graczem. Nie ma żadnej prawdy w różnego rodzaju plotkach o jego tajnych uzgodnieniach z Ronaldem Reaganem. Jego rola sprowadzała się do inspirowania innych, przekonywania ich, że warto stanąć w prawdzie, że warto żyć tak, jakby się było wolnym - mówi George Weigel, teolog, biograf Jana Pawła II

GEORGE WEIGEL: JAN PAWEŁ II NIE ZAJMOWAŁ SIĘ KNOWANIAMI POLITYCZNYMI W KULUARACH

Agaton Kosiński

Pan, Amerykanin, stał się najważniejszym biografem Jana Pawła II. Jak do tego doszło?

Cała historia zaczęła się w 1995 r. Zauważyłem, że wcześniej nie powstała żadna wartościowa biografia Jana Pawła II. Wcześniej napisałem książkę o jego roli w upadku komunizmu - i gdy skończyłem nad nią pracę, poczułem, że mógłbym opracować pełną biografię. Jan Paweł II zgodził się współpracować ze mną w ciągu trzech kolejnych lat. Zdecydowałem się więc przebudować swoje życie po to, by móc się tym zająć w pełnym wymiarze. To była fantastyczna przygoda. Najpierw napisałem pierwszą część „Świadek nadziei”.

Ukazała się w 1999 r.

Tuż przed śmiercią Jana Pawła II obiecałem mu, że dokończę moją opowieść o nim. To doprowadziło do tego, że napisałem drugi tom o tytule „Kres i początek”.

Od śmierci Jana Pawła II minęło niemal 20 lat - ale pana życie ciągle jest z nim blisko związane. Jak pan z obecnej perspektywy widzi jego pontyfikat?

To nie jest tak, że zajmuję się tylko Janem Pawłem II. Od jego śmierci napisałem mnóstwo artykułów i zdecydowana większość z nich nie była jemu poświęcona. Ale to nie znaczy, że myśl polskiego papieża przestała odgrywać rolę. Jest odwrotnie. Uważam, że jego świadectwo jest dzisiaj co najmniej tak samo ważne, jak było w jego czasach.

Zostawmy na chwilę z boku wymiar religijny jego pontyfikatu, ale też trzeba pamiętać,

że Jan Paweł II był również przywódcą politycznym. Jego największym sukcesem w tym obszarze był upadek komunizmu. Jaki był jego wkład w koniec tego ustroju w Europie Środkowej?

Komunizm by upadł i bez jego udziału - przede wszystkim z powodu własnej niewydolności jako ustroju. Ale nie wiemy, kiedy by do tego doszło bez papieża. Fakt, że zdarzyło się to w 1989 r., a nie na przykład w 1999 r. czy 2009 r., to konsekwencja działań Jana Pawła II. On rozpoczął rewolucję sumienia w tej części świata w 1979 r., gdy odbył swoją pierwszą pielgrzymkę jako papież do Polski.

W czerwcu czeka nas 45. rocznica tej pielgrzymki.

On w jej trakcie przedstawił wizję jasnej polityki życia w prawdzie. Doprowadził w ten sposób do powstania Solidarności rok później i uruchomił proces politycznej transformacji, która doprowadziła do przełomu 1989 r. On był niezbędnym elementem tego procesu - choć oczywiście niejedynym, to była bardzo skomplikowana układanka, w której kluczowe role odgrywali: Ronald Reagan, Michaił Gorbaczow, Margaret Thatcher, Vaclav Havel, Helmut Kohl i wielu innych.

Znamy rolę Jana Pawła II w tym procesie jako jego duchowego przywódcy. Ale czy on angażował się w politykę kuluarową w tym okresie?

Nie, papież nie był politycznym graczem. Nie ma żadnej prawdy w różnego rodzaju plotkach o jego tajnych uzgodnieniach z Ronaldem Reaganem. Jego rola sprowadzała

się do inspirowania innych, przekonywania ich, że warto stanąć w prawdzie, że warto żyć tak, jakby się było wolnym. Papież pomógł podtrzymać nadzieję w czasie stanu wojennego - ale jednocześnie nie zajmował się knowaniami politycznymi w kuluarach. Nic takiego nie miało miejsca.

Jan Paweł II myślał w kategoriach tak głębokiej zmiany systemu?

Nie sądzę. On miał świadomość, że czasy, gdy chrześcijaństwo tworzyło świat uniwersalnych wartości dla całej Europy, dawno się skończyły - i był z tego powodu zadowolony. On nie chciał powrotu do czasów, gdy władza świecka i duchowa były ze sobą silnie zespolone. Wiedział, że poleganie na władzy państwowej zawsze źle służy Kościołowi. Te czasy już się skończyły. Nigdy nie dążył do odtworzenia sojuszu ołtarza z tronem. To, na czym mu zależało, to przypomnienie Europie, że Biblia i wywodząca się z niej religia to jeden z kamieni węgielnych zachodniej cywilizacji.

Ateny, Rzym, Jerozolima - trzy źródła zachodniej cywilizacji.

Stąd wyrastają korzenie współczesnej demokracji. Gdy Chrystus mówi, by oddać

cesarzowi, co należy do cesarza, a Bogu, co należy do Boga, to ma na myśli fakt, że są obszary, których władza państwowa nie jest w stanie kontrolować. To kluczowy element zjawiska, które określamy jako ograniczony rząd, niezbędny element demokracji. Przekonanie, że współczesna demokracja zaczęła się w okresie oświecenia, to nonsens. Ona ma dużo głębsze korzenie. Papież o tym przypominał.

Jan Paweł II był gorącym orędownikiem rozszerzenia UE o kraje Europy Środkowej, mówił o dwóch płucach kontynentu. Jaką on miał wizję Europy?

Uważał ją przede wszystkim za projekt cywilizacyjny i kulturowy. Gdy na początku XXI wieku trwała dyskusja o projekcie eurokonstytucji, papież był rozczarowany tym, jaki kształt ona przyjmuje. Jeśli Europejczycy uważają, że francuski model sekularnego społeczeństwa - laïcité - jest jedynym możliwym, to są w błędzie.

Francja właśnie wpisała do konstytucji prawo do aborcji - i rozpoczęła debatę o legalizacji eutanazji.

To zły ruch, niemający większego sensu. Znamy przykłady społeczeństw, które

świetnie sobie radzą bez wprowadzania reguł laïcité, bez uznania sekularyzacji za fundamentalną narodową wartość. Proszę zwrócić uwagę, w jak fatalnej sytuacji demograficznej znajduje się od dawna Francja.

Papież Franciszek - przemawiając w 2017 r. w Strasburgu - przyrównywał ją i całą Europę do „bezpłodnej staruszki”.

Ujął to bardzo eleganckimi słowami. Dla mnie wpisywanie prawa do aborcji do konstytucji to przejaw niepoczytalności. Tak naprawdę oznacza to wyniesienie samowoli, działania według własnego widzimisię do rangi państwowej filozofii. Francja odwołuje się do swojej dewizy „Wolność, równość, braterstwo”. Tylko co się stało z dwoma ostatnimi jej członami? Bo dziś widać odwołania tylko do wolności - i to bardzo płytkiej interpretacji tego terminu, sprowadzającej ją do tego, że robi się to, na co ma się w danej chwili ochotę. To dziecinne. Natomiast równość i braterstwo znikły. Widać, że nienarodzone dzieci nie są traktowane na równi z innymi ludźmi. Górę bierze autonomia jednostki nad solidarnością wobec pozostałych.

Podobne zmiany dotyczą cały Zachód. Zawsze mnie to uderza, gdy oglądam film „Kevin sam w domu”, emitowany w Polsce w Boże Narodzenie. Widać, że centralną rolę w lokalnej społeczności odgrywa w nim kościół - do niego ucieka główny bohater, gdy ma kłopoty. Tyle że to film z 1990 r. Gdyby nakręcono jego współczesną wersję, ko-

ściół by w nim nie pokazano nawet z daleka. Jak pan rozumie tę zmianę, która zaszła po śmierci Jana Pawła II?

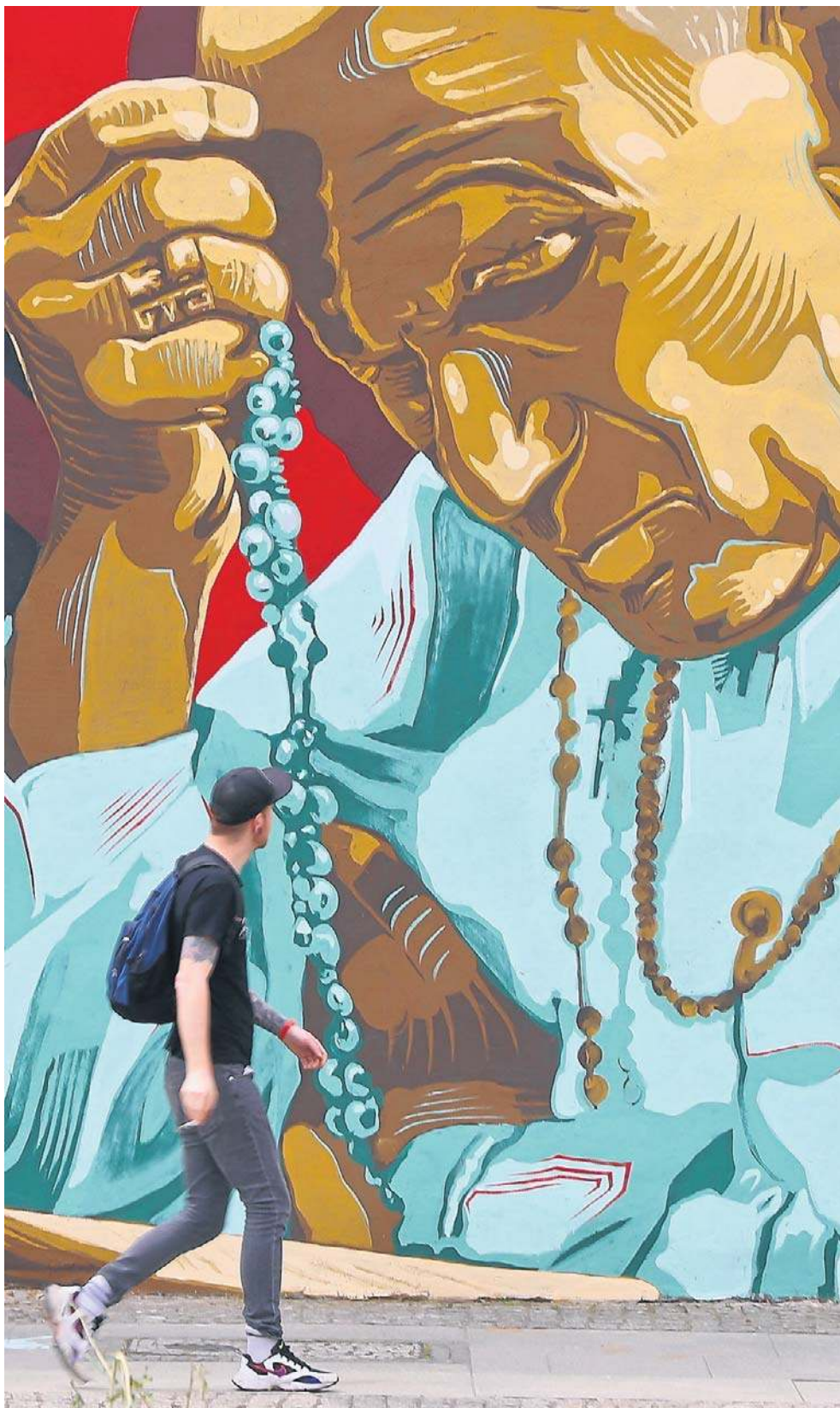
Na pewno nie jest to korzystna zmiana, choć jej przyczyny są różne - w zależności od miejsca. W niektórych częściach Zachodu Kościół cały czas znajduje się w centrum lokalnej aktywności. Ale faktem jest, że Kościół stał się zbyt zadowolony z siebie. Proszę się przyjrzeć sytuacji w Irlandii. Tam przez lata utrzymywało się przekonanie, że bycie Irlandczykiem równa się bycie katolikiem. W Polsce zresztą wygląda to podobnie. Tylko że myślenie w ten sposób to ewangeliczne lenistwo. Ewangelia musi być głoszona, przedstawiana cały czas na nowo, a Kościół musi nieustannie przedstawiać bardziej ludzki sposób życia. Bo ostatecznie nie da się całego życia spędzić w centrum handlowym.

Pewnie we współczesnej wersji „Kevina” ono byłoby centrum całej dzielnicy.

Tyle że na dłuższą metę ciągle chodzenie do takiego centrum staje się nudne, bo tak naprawdę nie odpowiada ono na najgłębsze tęsknoty człowieka.

To samo można powiedzieć o Kościele - dla osób, które nie wierzą w wieczność, w zbawienie on również okaże się nudny i pozbawiony głębszej treści. Samo wrażenie bycia częścią wspólnoty można przecież odnaleźć w centrum handlowym czy na siłowni. Nieprawda. Nie da się zbudować wspólnoty w centrum handlowym. A Kościół też nie da się sprowadzić tylko do wiary w wieczność. Kościół to także

*ZWIĄZEK OŁTARZA I TRONU
PROWADZI DO EKLEZJALNEJ ŚMIERCI.
TEGO TYPU ROZWIĄZANIA
SPRAWDZAŁY SIĘ W ŚREDNIOWIECZU.
DZIŚ NIE MA NA NIE MIEJSCA*



FOT. PAWEŁ RELIKOWSKI

Weigel: Kościół stał się zbyt zadowolony z siebie. W Irlandii przez lata utrzymywało się przekonanie, że bycie Irlandczykiem równa się bycie katolikiem. W Polsce podobnie. Takie myślenie to ewangeliczne lenistwo

tu i teraz. On jest o życiu w taki sposób, byśmy mogli bez niepokoju doczekać wieczności. C. S. Lewis mówił, że święci to ci, którzy mogą żyć wygodnie z Bogiem na zawsze. Kościół to miejsce, które przygotowuje nas do tego, by być takimi ludźmi. To też wpisuje się w potrzeby ludzkiego serca, ale też ludzkiej duszy - bo nikt nie chce być sam. To jeden z powodów, dla których ludzie zawsze coś lub kogoś wielbią. Jeśli nie wielbimy prawdziwego Boga, to będziemy wielbić fałszywego. To mogą być pieniądze, seks czy cokolwiek innego.

„Kiedy człowiek przestaje wierzyć w Boga, może uwie-

rzyć we wszystko” - mawiał brytyjski pisarz G. K. Chesterton.

Tak naprawdę do tej pory nie udało się znaleźć źródła tego cytatu, nikt nie wie, gdzie Chesterton go napisał - ale rzeczywiście bardzo on do niego pasuje. (Śmiech) A przede wszystkim to zdanie jest bardzo prawdziwe. Bo ludzie w naturalny sposób szukają czegoś, co pozwoli im zapełnić ich nudne życie czymś, co ma znaczenie. Kościół świetnie wpisuje się w te oczekiwania.

Podkreśla pan w swoich tekstach, że jednym z kluczowych elementów spuścizny po Janie Pawle II jest jego we-

zwanie do nowej ewangelizacji. Z kolei przed chwilą zwrócił pan uwagę na to, że współczesny Kościół stał się po prostu leniwy. Widać, że on nie jest gotowy na tę nową ewangelizację. Co poszło nie tak? Sytuacja jest bardziej złożona. Rzeczywiście, część Kościoła cały czas nie dostrzegła, że czasy się zmieniły, że dziś są wobec niego inne oczekiwania niż kilkadziesiąt lat temu. Ale są też miejsca, gdzie to wygląda zupełnie inaczej. Proszę spojrzeć choćby na Afrykę - tam Kościół katolicki rozwija się niewiarygodnie szybko. To bezpośredni efekt pontyfikatu Jana Pawła II. Kościół żyje w tych miejscach, w których

podchwycano wezwanie do nowej ewangelizacji. Natomiast Kościół umiera w takich krajach jak Niemcy, gdzie próbuje się na nowo go wymyślić w formule, którą ja nazywam „Kościół być może”.

„Być może”? Jak to rozumieć?

Być może to prawda, być może nie. Tymczasem nikt nie jest zainteresowany być może. Ludzie szukają świadectwa i prawdy. Jeśli Ewangelia jest głoszona w zgodzie z tymi przekonaniami, ludzie na to odpowiadają. Inaczej Kościół umiera. Widać to w Niemczech, w których Kościół przestał wierzyć w prawdę Ewangelii.

Skupia się pana na Niemczech, choć problem wydaje mi się szerszy. Kościół się rozwija w biedniejszych częściach świata, natomiast traci swą żywotność w bogatych. Widać to na przykładzie Polski czy Irlandii - państw tradycyjnie biednych, które w ostatnich latach szybko się bogacą, a równocześnie znaczenie Kościoła słabnie. To potwierdzenie, że z Ewangelią można dotrzeć do wszystkich, z wyjątkiem ludzi majątnych. Nie wydaje mi się, że można w ten sposób wszystko sprowadzić do wspólnego mianownika. Przecież Stany Zjednoczone również są bardzo bogatym krajem, a jednocześnie pozostały mocno religijne.

Akurat w Europie to uniwersalny schemat. Im kraj staje się bogatszy, tym znaczenie Kościoła maleje. Widać to na przykładzie choćby Hiszpanii, Portugalii, Malty. Dostrzegam tu inny schemat.

W Hiszpanii, Portugalii, Irlandii i do pewnego stopnia we Włoszech Kościół był blisko związany z władzą państwową. W pierwszym zdaniu irlandzkiej konstytucji do dziś jest odwołanie do Trójcy Świętej. W Hiszpanii i w Portugalii funkcjonowały de facto Kościoły państwowe. We Włoszech Kościół był blisko związany z Chrześcijańską Demokracją, jedną z najważniejszych partii w tym kraju po II wojnie światowej. Tylko że taki model prowadzi do eklezjalnej sklerozy, miazdżycy tętnic. Kilkadziesiąt lat temu Quebec, jedna z prowincji Kanady, uchodził za jedną z najbardziej religijnych części świata zachodniego - a dziś jest jedną z najsuchszych religijnie pustyni między biegunami północnym i południowym. Stało się tak, bo Kościół w Quebecu zaczął być jednoznacznie utożsamiany z jedną partią polityczną. Tego typu związek ohtarza i tronu prowadzi do eklezjalnej śmierci. O ile tego typu rozwiązania sprawdzały się w czasach

średniowiecza, to dziś nie ma na nie miejsca. Kościół nie może do tego dopuszczać. On musi pamiętać, że jest wspólnotą, na której spoczywa misyjna odpowiedzialność.

Podkreśla pan, że Kościół w USA zachował dużą żywotność. Z drugiej strony widać jego coraz większe zrośnięcie z prawicą. Donald Trump sięga po retorykę niemal mesjanistyczną. Czy to nie jest powtórka z tego procesu, który miał miejsce w Quebecu?

Akurat w USA nie tylko Trump odwołuje się do religii, przecież Joe Biden też podkreśla, że jest zadeklarowanym katolikiem. Tak naprawdę obaj są kłamcami. Koncept, by widzieć w Trumpie mesjanistycznego bohatera, jest naprawdę szalony. Ale też większość katolików w USA nie patrzy w ten sposób ani na Trumpa, ani na Bidena. Tak naprawdę tegoroczny wybór jest słaby.

A w szerszym kontekście? Dlaczego akurat w Stanach Zjednoczonych utrzymała się tak żywa religijność?

To pokłosie Światowych Dni Młodzieży, które w 1993 r. odbyły się w Denver. Z tamtego zjazdu wyrosło mnóstwo różnych inicjatyw angażujących młodych ludzi. Nasi biskupi zorientowali się, że katolicyzm można pokazać w atrakcyjny sposób. Wcześniej Denver było silnie zsekularyzowanym miastem - ale gdy przyjechał tam Jan Paweł II, nagle atmosfera w nim zmieniła się radykalnie. To był punkt zwrotny dla Kościoła w Stanach Zjednoczonych, od tamtego momentu widać wyraźny wzrost religijności w USA. Oddzielna sprawa, że mieliśmy też szczęście do biskupów, którzy umieli ten fenomen wykorzystać i utrzymać. Niezależnie pojawiła się cała sieć katolickich intelektualistów, autorów, którzy zainspirowani pontyfikatem Jana Pawła II zbudowali na nowo zaufanie do Kościoła w Stanach Zjednoczonych.

Autorytet Kościoła mocno z kolei podważają afery pedofilskie. Zaczęły one wychodzić na jaw za pontyfikatu Jana Pawła II, a do dziś nie udało się ich rozwiązać. Dlaczego z takim trudem przychodzi Kościołowi wyjaśnienie ich?

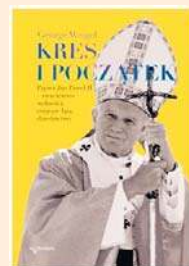
Akurat w Stanach Zjednoczonych udało się je rozwiązać. Dokonano tego poprzez głęboką reformę metod organizacji pracy seminariów oraz poprawiono dyscyplinę w parafiach. Dziś to najbezpieczniejsze miejsca dla młodych ludzi. Wzięło się to stąd, że potraktowaliśmy po-

ważnie straszliwe zbrodnie, do których doszło w przeszłości. To z tego powodu wprowadzono całą serię reform. Ale wprowadzono je, bo nie zaprzeczano, że wcześniej dochodziło do nieprawidłowości. Nikt nie twierdził, że to tylko spisek mediów, Kościół szczerze przyznał się do tego, że występowały tego typu problemy wynikające z błędów w organizacji pracy seminariów i niedostatecznego nadzoru ze strony biskupów. Jednym z tych błędów był fakt, że biskupi uwierzyli psychologom twierdzącym, że uda im się naprawić te problemy - choć naprawić ich nie byli w stanie. Na całe szczęście Kościół w USA podszedł do tych kwestii bardzo poważnie. Wydaje mi się, że Kościoły w innych państwach mogłyby się od nas tego uczyć.

W Polsce tak się nie dzieje. Jest odwrotnie - narasta przekonanie, że Kościół tylko tuszuje pedofilię we własnych szeregach. I coraz częściej pojawiają się opinie uderzające też w Jana Pawła II - że on ten proceder tuszował. Dla młodych ludzi on nie jest bohaterem, który doprowadził do upadku komunizmu, tylko obrońcą pedofilów.

Tylko że to zwyczajnie nie jest prawda. Mówienie, że on pomagał pedofilom w Kościele, to wierutne kłamstwo! Wielokrotnie zresztą to kłamstwo dementowano, wystarczy przypomnieć film Pauliny Guzik „Szklany dom”. Specjaliści z naukowym dorobkiem przebili się przez archiwa, szukając na to śladów - i oni też przyznali, że to nie jest prawda. Dla mnie fakt, że Polacy chcą w to kłamstwo wierzyć, jest szaleństwem - bo nie umiem inaczej zrozumieć, dlaczego w ten sposób patrzą na swojego największego bohatera. Trzeba to młodym ludziom cierpliwie, spokojnie tłumaczyć. Pokazać im, że Jan Paweł II był wielkim reformatorem Kościoła. To jedyna możliwa odpowiedź na ciągle powtarzane kłamstwa.

KSIAŻKA



George Weigel
„Kres i początek. Papież Jan Paweł II”, wyd. W Drodze, Poznań 2024

Seks, szantaż i pieniądze – w dalszym ciągu w ten sam sposób werbuje się agentów?

Oczywiście, ale nie w takim sensie, jak się czasami uważa.

To jak się ich dzisiaj werbuje?

Szantaż i pieniądze są uniwersalnymi metodami pracy wszystkich służb, ale są też ważnymi elementami życia każdego człowieka. W pracy wywiadowczej - w pojęciu powszechnym, ukształtowanym często poprzez literaturę, popkulturę - mają być dominujące, najczęściej wykorzystywane. One dobrze wyglądają, są fajne filmowo, książkowo, bo dodają mięsa opowieściom szpiegowskim, ale w rzeczywistości tak to nie wygląda. One nie są już dominującymi elementami tak zwanego procesu werbunkowego. Bo pewnie chce pani zapytać, dlaczego ludzie godzą się na współpracę z wywiadem? Oczywiście, wykorzystywany jest seks, szantaż i pieniądze. Pieniądze zawsze były istotne w wywiadzie, seks jest obecny w życiu każdego z nas, a szantaż występuje u wszystkich niemalże codziennie - albo małej, nieznaczny, albo duży. Więc powiem tak: to elementy, które się dostrzega, ale nie są podstawą procesu werbunkowego. Agent musi chcieć pracować. Musi pracować z własnej woli. Musi pracować z jakiegoś przekonania, chęci, która wynika z jego potrzeb, i tutaj możemy oczywiście dyskutować, jakie to są potrzeby. Ale nie mówi się podczas werbunku: „Panie, mamy pana fotografie, kompromitujące fotografie. Jak pan nie przyniesie nam dokumentów z szafy pancерnej, to pokażemy je na YouTube”. Przecież tak się nie robi.

Myśli pan, że decydujące są jakieś ideologiczne pobudki?

Nie powiedziałbym, że decydują pobudki ideologiczne. Zawsze jest konglomerat, mieszanina, zbitka bardzo różnych elementów psychiki ludzkiej, które decydują. Każdy człowiek jest inny. Dokładnie w taki sposób podchodzimy do werbunku agentów. Jeżeli się kogoś rozpracowuje, mamy kandydata na szpiega, to musimy przede wszystkim zbadać takiego kogoś jako człowieka. Wiedzieć, jaki jest, jakie ma poglądy, jakie ma potrzeby. Po takiej analizie, dogłębnym rozpracowaniu musimy postawić sobie pytanie: czy to osoba w ogóle jest werbowalna? To podstawowe pytanie: czy ta osoba daje nadzieję, że będzie można ją pozyskać? I odpowiadam - 80 procent ludzi, których rozpracowujemy, nie nadaje się do werbunku. Odrzucamy ich.

Dlaczego?

Dlatego, że mają taką konstrukcję psychiczną, takie poglądy, takie zasady, takie normy, które wskazują, że

– Parlament Europejski to jest priorytetowe zadanie dla rosyjskiego i białoruskiego wywiadu w całej Europie. Chodzi o to, aby wprowadzić do Europarlamentu jak najwięcej „swoich”, to jest dzisiaj ważne.

Oczywiście są zadania stałe, takie jak kształtowanie polityki wewnętrznej w innych krajach – mówi Vincent V. Severski, pisarz, były funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa, Urzędu Ochrony Państwa i Agencji Wywiadu

Dorota Kowalska



Severski: Szmydt będzie jeździł po kraju, będą go pokazywać, będzie chodził do różnych programów. Przez jakiś czas będą go przedstawiać jako eksperta. Chyba że zdarzą się bardziej dramatyczne okoliczności

SEVERSKI: DLA ROSJAN NAJWAŻNIEJSZA JEST TERAZ OPERACJA - PARLAMENT EUROPEJSKI

werbunek ma małe szanse powodzenia, bo ta konkretna osoba nie zgodzi się na współpracę.

Jakie cechy charakteru, jaka konstrukcja psychiczna, psychologiczna sprawa, że dany człowiek jest podatny na werbunek?

Nie ma jednej takiej cechy, jak już powiedziałem, człowiek to kłębowisko najróżniejszych cech. My je określamy i w pewnym momencie stajemy przed pytaniem: czy to materiał na szpiega, czy nie? Jak wspominałem, 80 procent ludzi nie nadaje się do tej pracy, ale 20 procent - tak.

I wtedy musimy sobie odpowiedzieć na pytanie: dlaczego ten ktoś nadaje się do tej roboty? Otóż ma takie cechy charakteru, potrzeby, zachowania, swoją historię, które wskazują, że jak spotkamy się i porozmawiamy, jest szansa na współpracę. Powiemy: „Słuchaj, stary, my ci pomo-

żemy. Chcesz być ministrem, tak? Pomożemy ci w tym. Otworzymy przed tobą pewne możliwości”. Bo ten nasz człowiek, na przykład, strasznie chce być ministrem. Wiemy, że prze po trupach, potrafi zaszczuć, zapluć, skopać, do nocy śle na konkurentów z partii donosy, bo chce być

tym nieszczęsnym ministrem. Upraszczam rzecz jasna, ale to wcale nie jest tak, że to przykład z sufitu (śmiech). Zjawiamy się wtedy w odpowiednim momencie i mówimy: „Słuchaj, stary, pomożemy ci, jeszcze na tym zarobisz. Będziesz miał wydatki. Sfinansujemy ci kampanię wyborczą”. I taki facet tyka przynętę. Jest kolejnych 50 przypadków, o których możemy rozmawiać: ten chce być ministrem, a inny chce komuś zaszkodzić i całe życie marzy o tym, żeby kogoś uwalić. Oczywiście są ludzie, którzy mają proste potrzeby, choćby pieniądze, bo są w długach. Zdarza się, że chodzi o zdrowie - ktoś choruje albo ma chorego w rodzinie. Takie historie też wykorzystuje się w określonych sytuacjach.

Trochę bezwzględne!

Życie. Więc nie ma jednej metody, ale na pewno polujemy na tych, którzy mają jakieś słabości, krzywizny. Najczęściej są to jakieś cechy ich psychiki, które skrzętnie ukrywają. To nawet lepiej. Jeżeli wszyscy wiedzą, że ktoś jest taki czy inny, staje się dla wywiadu mniej przydatny. Wtedy otoczenie wie, czego można się po nim spodziewać. Najlepsi są tacy, którzy swoje pragnienia, potrzeby skrywają głęboko w sobie.

Na co złapano Tomasza Szmydta? Na pieniądze?

Trudno powiedzieć. Za mało o nim wiem. Tomasz Szmydt dopiero teraz jest w rozpracowaniu, właściwie post factum. Na pewno kontrwywiad mocno go prześwietli i ustali, co się tylko da, ale na pierwszy rzut oka zdaje się, że zadecydowały pieniądze, jakieś niezaspokojone ambicje. Nie wiemy, jakie było jego życie seksualne, bo to też jest ważny czynnik w życiu człowieka. Rozwiódł się, nie miał pieniędzy. Powiem tak: musi być coś, co kwalifikuje go do grupy 20 procent podatnych na werbunek. Ja, osobiście, zainteresowałbym się tym człowiekiem. Tym bardziej że miał dostęp do tajnych informacji, czyli ankiet poświadczenia bezpieczeństwa. Wiedział, co ma. Miał długi, nie miał majątku, ale w szafie pancерnej miał sprawy, które, Szmydt doskonale zdawał sobie z tego sprawę, zainteresują obce służby. Prawdopodobnie nie za dobrze znał rosyjskie służby specjalne - z tego, co robił i zrobił, nic nie będzie miał.

Trwają dyskusje o tym, jak długo mógł współpracować z obcymi służbami. Jak długo, pana zdaniem?

Nie wiadomo. Mógł być za- werbowany albo był oferentem, czyli sam poszedł do ob-

cego wywiadu, złożył propozycję, że ma coś do sprzedania. Tacy też przecież istnieją. Założmy, że był zwerbowany – z reguły rozpracowanie takiego gościa trwa miesiącami, a nieraz bywa, że latami. Miałem człowieka, którego rozpracowywałem prawie 10 lat, zanim przedstawiłem mu propozycję współpracy. Różnie bywa, przedstawienie propozycji współpracy nie jest procesem prostym. Nie umawia się z gościem w kawiarence i nie mówi: „Panie, jestem z KGB i mam propozycję”. To tak nie wygląda. Zawsze trzeba się liczyć z prowokacją. Trzeba to wszystko dobrze zaplanować, przemyśleć, wybrać odpowiednią chwilę - ten proces mógł trwać miesiące albo nawet lata.

Tomasz Siemoniak, koordynator służb specjalnych, stwierdził, że panem Szymdtem służby się nie interesowały, to dlaczego uciekł właśnie teraz?
Tego nie wiemy. Ta decyzja też nie jest jednoznaczna. Może dlatego, że chciał uciec i przedstawił drugiej stronie swoją decyzję. Mógł czuć się zmęczony, może miał dość i chciał wyjechać, może się bał i wydawało mu się, że jest rozpracowywany. Różnie z tym bywa. Tacy agenci pracują ciągle w stanie zagrożenia, z ogromnym obciążeniem psychicznym. Czasami widzą duchy. Zobaczą kogoś dwa razy na ulicy i myślą, że to obserwacja. Więc to są bardzo różne procesy. A może Białorusini czy Rosjanie, bo to jest to samo, podjęli tę decyzję. Stwierdzili, że facet już zrobił swoje i trzeba go teraz pokazać w telewizji, tak też mogło być. Nie wiemy.

Co Szymdta czeka na Białorusi, pana zdaniem? Co tam będzie robił?
Będzie jeździł po kraju, będą go pokazywać, będzie chodził do różnych programów. Przez jakiś czas będą go przedstawiać jako eksperta. Najpierw zbudują mu image wspianego człowieka, będzie się wypowiadał w telewizji w różnych sprawach. Potem się opatrzy. Zacznie pić. Tak kończą tacy jak on. Chyba że zdarzą się bardziej dramatyczne okoliczności.

To znaczy?
Coś mu się przydarzy.

Dziwne, że polskie służby nie zainteresowały się tym człowiekiem. Wiedziały, że ma dostęp do tajnych informacji, że ma puste konto i długi, mimo że zarabia całkiem sporo, że ma skomplikowane życie osobiste. Czemu to nie wzbudziło podejrzania służb?
Bo jest luka w polskim prawie, którą obce służby widzą, obserwują i wykorzystują.

Kiedy zobaczylibyśmy raport o tym gościu, który powstał gdzieś tam w Mińsku, to przeczytalibyśmy w nim, że to sędzia i wedle polskiego prawa nie jest objęty ochroną. Idealna sytuacja dla obcego wywiadu. Oni to wiedzą, to nie są idioci. Więc ta luka prawna wynikała z tego, że sędziowie nie byli objęci kontrolą, sprawdzaniem przez służby. To jedna sprawa, ale jest też informacja operacyjna, którą służby mają. Owszem, nie możemy rozpracowywać sędziego, ale możemy zauważyć, że nie ma pieniędzy, ma za to długi i dostęp do informacji tajnych. Tu powinna zadziałać wrażliwość, zdrowy rozsądek - tego nie było. Przecież nie możemy także rozpracowywać dziennikarzy i księży, ale jeśli wśród dziennikarzy pojawi się podejrzany o szpiegostwo, to trzeba się tym zająć. Nie można machnąć ręką i powiedzieć: „A, to niech on sobie szpieguje, bo ma immunitet”. Tak nie może być. Szymdt to błąd polskich służb, ale też służby były bardzo słabe w ostatnich latach. Trzeba też pamiętać, że to był gość podwiązany pod struktury władzy i to bardzo wrażliwe, bo ministerstwo sprawiedliwości. Więc nawet, jeśli ktoś coś podejrzewał, bo to są zawodowcy, machnął ręką, albo się bał, albo nie chciał wychylać.

Takich osób jak Szymdt może być więcej, prawda?
Nie może - jest więcej.

Jak ich wszystkich wyłapać?
Nigdy ich nie wyłapiemy. Od zarania dziejów szpiedzi byli, są i będą. Pytanie - ilu ich jest i jak sobie radzą? Jeżeli służby są słabe, to radzą sobie lepiej, jeśli służby są dobre, dobrze dofinansowane, dobrze wyposażone, pracują w nich dobrzy ludzie, nie jest im łatwo. Są takie kraje, gdzie im nie idzie, bo ciągle ich wyłapują. Mówiłem to już kiedyś i powtórzę: jak państwo jest z papieru, to i służby są z papieru.

Ostatnio dużo się mówi o porachach, bo rzeczywiście mamy ich wysyp: hala targowa na Maryjskiej w Warszawie, chemikalia na Śląsku, zajezdnia autobusowa na Śląsku, liceum w Grodzisku Mazowieckim. Dziwnie to wygląda. To może być sprawa służb?

Państwo z papieru, służby z papieru, a papier szybko płonie. Oczywiście, że to może być sprawka służb. Dopóki tego nie wykluczymy, powinien powstać w odpowiednich służbach zespół, który taką wersję bada i to na poważnie.

Jacek Siewiera, szef BBN, mówi, że sprawa jest poważna, tym bardziej że mamy takie pożary nie tylko u nas, ale chociażby w Helsinkach.
A w Szwecji, na dalekiej północy, wykoleją się pociągi. Nigdy się nie wykolejały, a teraz tak i to akurat na strategicznej linii. Szwedzkie władze nie wykluczają sabotażu.

W Szwecji dziwne wykolejenia pociągów, w Polsce dziwne pożary, jakie jeszcze mogą być takie namacalne działania dywersyjne służb?
Jeżeli to są skutki ich działań, to na razie są takie pstryczki, sygnały. Na zasadzie: uważajcie, my tu jesteśmy, działamy, widzimy. Co mogą zrobić jeszcze? Trudno powiedzieć. Tego typu działania są pewną wykładnią sytuacji politycznej oraz militarnej Rosji. Jeżeli będzie im się źle wieść, to przypuszczam, że mogą inspirować zamachy terrorystyczne. W każdym razie nie wykluczam tego. Mają doskonałe spenetrowane Państwo Islamskie. W Państwie Islamskim co trzeci dowódca polowy to był Czeczen albo Dagestańczyk.

Co jeszcze mogą robić Rosjanie?
Działanie dywersyjne, szpiegostwo czy rozpoznanie - ogromnie się nasiliły, trwa wojna, giną ludzie. Wcześniej też to robili, ale teraz skala tych działań jest nieporównywalnie większa. Natomiast główne uderzenie idzie na agenturę wpływu.

Czyli?
Dzisiaj, moim zdaniem, zadanie numer jeden to wybory do Parlamentu Europejskiego, to jest priorytetowe zadanie dla rosyjskiego i białoruskiego wywiadu w całej Europie. Chodzi o to, aby wprowadzić do Parlamentu jak najwięcej „swoich”, to jest dzisiaj ważne. Oczywiście są zadania stałe, takie jak kształtowanie polityki wewnętrznej w innych krajach, doprowadzanie do określonych decyzji politycznych, wzbudzanie wątpliwości. Mamy teraz w Szwecji

ogromną aferę - partia SD, która wspiera rząd, finansowała farmy trolli. Prowadziła szeroko zakrojoną dezinformację, trolling, także przeciwko opozycji, ale też szwedzkiemu rządowi.

Partia, która wspiera rząd, prowadziła działania antyrządowe?
Tak, finansowała farmę trolli. Ludzie przeżywają szok. Dziennikarze dostali się do tej farmy, pokazali wszystko od środka - jak to wygląda, jak działa. To nie zostało powiedziane wprost, ale sprawa pachnie Kreml. A jak coś pachnie Kreml, to jest Kreml.

Afera hejterska w ministerstwie sprawiedliwości kierowanym przez Zbigniewa Ziobrę też pachnie Kreml?
Oczywiście, że tak! Jest stara szpiegowska zasada: jak coś pachnie ruskim, to to jest ruskie. W świecie szpiegów nie ma próżni. Jeśli mamy jakieś zjawisko, jakieś zdarzenie: polityczne, społeczne, to Rosjanie na pewno w nim siedzą, pytanie, w jakiej skali. Jeśli trwa strajk rolników, to przecież oni to wszystko dokładnie analizują, my robimy to samo, każdy wywiad to robi. I później wyskakuje jakaś kobieta ze wstążkami św. Jerzego tak albo wręcz transparentem, że Rosję Kochamy. To wszystko jest obliczone na ich odbiorców, ale też trochę na naszych. Kto jest antyrosyjski to jest, ale u nas nie wszyscy są do końca antyputinowscy.

To zadziwiające, że rządy, świadomie lub nie, takie działania Kremla wspierają! Politycy nie orientują się, że są marionetkami w rękach Putina?
Bieżący interes polityczny jest ważniejszy niż oskarżenia o to, że się jest marionetką. Do Parlamentu Europejskiego startuje gość, który był szefem FRONTEX-u. Z jakiej partii startuje?

Nie wiem.
Pani Marine Le Pen, partii jawnie rosyjskiej, partii, która brała pieniądze od Kremla. U nas nie dałoby się tego zrobić, ale na Zachodzie prorosyjskość nie jest takim obciążeniem jak u nas. Zresztą, Rosjanie mają to w nosie. Dla nich nieważne, czy ktoś jest antyrosyjski, czy nie - ważne, żeby robić to, co oni chcą. Zobaczmy, co się w dzieje Niemczech, jakie agentury wyłapują.

Była słynna afera, służby wyłapały polityków, którzy byli finansowani przez Kreml, zatrzymano kilkanaście osób w całej Europie, prawda?
Dokładnie. I co? I nic. Jedziemy dalej. Dla Rosjan naj-

ważniejsza jest teraz operacja - Parlament Europejski.

Myślę, że część polityków ma świadomość, o co idzie ta gra w tych wyborach.
Oczywiście, że tak.

Wojna hybrydowa i dezinformacyjna są prowadzone od czasu wojny na bardzo dużą skalę. Jesteśmy wobec nich bezradni?
Rosjanie prowadzą tę wojnę cały czas i będą ją prowadzić. Mówię o tym, co stało się w Szwecji - informacje o farmach trolli natychmiast dotarły do opinii społecznej. Wszystkie trolle zostały upublicznione. Wszystkich pokazano. Nie jesteśmy tacy bezbronni, prawda? W tych sprawach musimy podejmować zdecydowane działania. Wszystko zależy, jak już mówiłem, jakie mamy państwo. Państwo słabe, rozdygotane, rozchwiane gorzej sobie z tą wojną radzi. Wojna hybrydowa w świecie wirtualnym trwa i będzie trwała, nie mam co do tego wątpliwości. I jest jakiś procent społeczeństwa, na które ona działa.

Z tego wynika, że rosyjskie służby mają się wciąż bardzo dobrze.
Oczywiście, że mają się bardzo dobrze. Dlaczego miałyby się mieć źle? Przecież oni nie giną na froncie.

No tak, ale w kontekście wojny w Ukrainie mówiono, że służby przekazały Putinowi złe informacje, nikt nie czekał w Ukrainie na rosyjską armię z bukietami białych kwiatów, nikt ich nie witał jak bohaterów. Rosjanie drugi rok tam walczą, a „operacja specjalna” miała się skończyć w kilka tygodni. Nie zawiodły służby?

Nie widziałem informacji, które łądowały na biurku Putina, bardzo bym chciał je zobaczyć. To nie tak działa. To takie schematy, takie modele medialne - służby nawaliły, bo Putin to mądry człowiek jest, tylko był źle informowany przez swoich. To jest sto razy bardziej skomplikowane. Moim zdaniem, służby zawsze mówią prawdę, swoją prawdę, albo inaczej - nigdy nie kłamią, ale popełniają błędy i mogą się mylić. To trzeba rozważać w tych kategoriach. Przypuszczam, że Putin był w miarę dobrze informowany, bo Rosjanie mają naprawdę dobre służby, ale problemem jest to, jakie podejmuje się decyzję na podstawie tych informacji. I tu zaczynają się schody. Politycy bardzo często nie liczą się z informacjami wywiadu, podejmują decyzję w oparciu o swoje własne widzimisie, w krajach autorytarnych to jest niemal regułą. Przecież car Putin uważa, że wie wię-

cej i lepiej. Hitler, Stalin mieli to samo, inni dyktatorzy działali podobnie. Znam też z naszego podwórka podobne historie. Polski wywiad też informował o różnych wydarzeniach polskich polityków, a ci nie podejmowali decyzji, albo podejmowali decyzje błędne czy sprzeczne z naszymi informacjami. W Stanach Zjednoczonych, w Anglii zdarzało się podobnie.

Z czego wynika siła rosyjskich służb?
Jest taka ulubiona piosenka Putina: „Gdzie się zaczyna ojczyzna?”. To pieśń szpiegów rosyjskich, kagiebiistów. Ironizuję trochę, ale nie do końca. Siła rosyjskiego wywiadu bierze się z ogromnej tradycji, historii, właściwie nieprzerwanej od czasów napoleońskich. Mimo wymordowania w 1937 roku połowy własnych oficerów, wywiad radziecki nie stracił swojej siły, a więc tradycja - to jedno. Kolejna sprawa - wielki szacunek w społeczeństwie. Tam każdy chce być szpiegiem. Przecież dzisiaj w Rosji czekista to odpowiedzialny, mądry człowiek, patriota. Mimo że czekści wymordowali 15 milionów ludzi, to w tym narodzie słowo „czekista” wciąż brzmi dumnie. Dokładamy do tego, że służby mają własnego prezydenta, całą armię szpiegów w najwyższych władzach państwa. Całe towarzystwo na Kremlu to kumple Putina, jak on - ludzie służb. Oni dobrze wiedzą, że takie kraje jak Rosja bez silnych służb nie przetrwają. I dlatego dobrze im płacą, dają przywileje. Ludzie służb mają się tam bardzo dobrze, są zmotywowani, pracują na ostro, a jest ich kilkadziesiąt tysięcy w samym tylko wywiadzie.

CV



Vincent V. Severski
To pseudonim pisarski Włodzimierza Sokołowskiego, emerytowanego pułkownika wywiadu. Był funkcjonariuszem wywiadu PRL i III RP, pełnił służbę wywiadowczą 26 lat, z czego prawie połowę poza Polską. Po 1990 przeszedł przeszkolenie w USA przez CIA. W Agencji Wywiadu doszedł do stanowiska dyrektora biura.

ZAMACH NA FICO WSTRZĄŚNIE „UKŁADEM ZAMKNIĘTYM”?

Dr. hab. Piotra Bajdę, profesora UKSW, pytamy na gorąco, tuż po zamachu na Roberta Fico, o to, jak mogło do tego w ogóle dojść na Słowacji, która po ostatnich podwójnych wyborach stała się „państwem w układzie zamkniętym”. – To już jest wykorzystywane w polityce. Od razu podjęły temat obie strony: rządowa i opozycyjna. Trudno powiedzieć, czyja narracja zwycięży – tłumaczy ekspert

Grzegorz Kuczyński

Zamach na życie premiera Słowacji Roberta Fico jest zaskoczeniem? Polityczna polaryzacja jest tam aż tak ostra? Dla wielu Polaków to szok, że do czegoś takiego dochodzi na Słowacji.

Myślę, że także dla większości Słowaków jest to szok. Bo rzeczywiście, do tej pory zdarzały się przypadki, choćby zabójstwo dziennikarza śledczego Jana Kuciaka w 2018 roku. Natomiast do tej pory politycy, mimo że nie są za bardzo ceni, podobnie jak w Polsce, nie byli obiektem bezpośredniej agresji, a tym bardziej zamachów. Co prawda istnieje poszlaka, że zabójstwo dwóch osób w 2022 roku w klubie LGBT było jakby w zastępstwie, bo sprawca planował zamach na ówczesnego premiera Eduarda Hegera, ale i tak wczorajsze wydarzenia były zaskoczeniem.

Szybko okazało się, że zamachowcem jest 71-letni Juraj Cintula. Dlaczego to zrobił?

Mamy do czynienia z osobą, która parała się jakąś poezją, był ochroniarzem. Pytanie, na ile stan emocjonalny miał znaczenie. Bo rzeczywiście, słowackie społeczeństwo jest bardzo podzielone, podobnie jak polskie. Szczególnie w przypadku osób wrażliwych można to łatwo wykorzystać do zainspirowania ich do dokonania różnego rodzaju aktów agresji. Samo imię i nazwisko napastnika może też wskazywać na to, że może mieć jakieś związki z mniejszością rusińską albo ukraińską. To by otwierało spekulacje na jeszcze innym obszarze.

Czy ten atak może zostać wykorzystany politycznie? Jeśli tak, to kto na tym najbardziej skorzysta? Obóz rządzący czy opozycja?

To już jest wykorzystywane w polityce. Od razu podjęły temat obie strony: rządowa i opozycyjna. Trudno powiedzieć, czyja narracja zwycięży. Z jed-



Piotr Bajda: Myślę, że także dla większości Słowaków jest to szok. Do tej pory słowaccy politycy nie byli obiektem bezpośredniej agresji, a tym bardziej zamachów

nej strony rządzący mówią o tym, że zamach na premiera to konsekwencja bardzo ostrej retoryki opozycji. Natomiast trudno też zapomnieć Robertowi Fico i jego otoczeniu, jak przez lata de facto szczuli na prezydenta Zsapatovą do tego stopnia, że z tego środowiska wychodziły pogroźki w stosunku do niej czy do jej najbliższych. Więc takie wzajemne oskarżanie się nie tyle o sprawstwo, co o podjudzanie do tego zamachu będzie teraz prowadzone przez obie strony z pełnym wyrachowaniem.

Robert Fico to nie jest postać nowa w słowackiej polityce. I już kiedyś wcześniej rządził krajem, budził duże kontrowersje. Dlaczego Fico ma tak wielu przeciwników? Jaką politykę prowadził i jakie poglądy wyznaje?

Można powiedzieć, że Robert Fico jest w polityce słowackiej od zawsze. Pierwszy raz został wybrany do parlamentu w 1992 roku i od tego czasu w tym parlamencie zasiada. To jest wete-

ran słowackiej polityki. Jest to człowiek, który dla sukcesu politycznego jest w stanie zrobić bardzo dużo. Jeszcze jako młody naukowiec zapisał się do partii komunistycznej przed 1989 rokiem, bo to dawało mu jakąś gwarancję na dalszą karierę. Sam mówił, że wydarzeń „aksamitnej rewolucji” nie zauważył, bo tak był zajęty pracą naukową. Ma taki sznyt działacza postkomunistycznego, nie tyle ideowego, co traktującego politykę jako sposób realizacji swoich interesów. W taki też sposób definiuje politykę. Założona przez niego w 1999 roku partia Smer miała być stronnictwem a ideologicznym, dopiero później do nazwy wpisał socjalną demokrację. W momencie gdy był premierem, był tak wyrazistą osobowością, że pokazywał, co go w rządzeniu interesuje i czyje interesy będzie reprezentował, co wywoływało reakcję drugiej strony. Natomiast rzeczywiście jest to przedstawiciel konkretnych kręgów biznesowych na Słowacji, które korzystały

nie tylko z przemian ustrojowych, ale później korzystały choćby ze wstąpienia kraju do strefy euro, korzystały z funduszy europejskich. Mamy do czynienia z powiązaniem polityki z biznesem, nie tylko lokalnym, ale i tym mającym kontakty międzynarodowe, także te o charakterze mafijnym. Stąd też nazwisko Fico pojawiało się chociażby wtedy, gdy prowadzono dochodzenie w sprawie zabójstwa młodego dziennikarza Jana Kuciaka parę lat temu. Sposób uprawiania polityki przez Fico jest przez wiele osób odrzucany i stąd też ta polaryzacja. Słowacja dzieli się na świat proficowski i antyficowski, podobnie jak wcześniej, w połowie lat 90. na świat promaciarowski i antymaciarowski (chodzi o Vladimira Meciar, budzącego wielkie kontrowersje trzykrotnego premiera Słowacji - red.).

Czy zamach w Handlovej zmieni polityczny układ sił na Słowacji? Jak słowacka scena polityczna wyglądała

do piątku 17 maja? Po przejściu władzy przez polityczny obóz Fico - najpierw w wyborach parlamentarnych, a ostatnio prezydenckich?

Ten zamach będzie wzmacniał ekipę rządzącą. Dziś można powiedzieć, że Słowacja jest państwem w układzie zamkniętym. Wszystkie kluczowe stanowiska są obsadzone przez ludzi Roberta Fico. To nie jest tylko prezydent Peter Pellegrini, który był jednym z bliższych współpracowników obecnego premiera. Potem się poróżnili, Pellegrini stworzył oddzielną partię, ale teraz wygląda na to, że ta partia będzie wracała do swojej macierzy. Ale to jest też choćby pełnia władzy w prokuraturze, kontrola mediów. To jest zamknięty układ polityczny, jaki obserwujemy choćby na Węgrzech Viktora Orbana. To może być tylko wzmocnione. Wybory do Parlamentu Europejskiego są w sumie ostatnimi wyborami na Słowacji, potem jest kilkuletnia przerwa, ale są też wyborami najmniej Słowaków interesującymi. W poprzednich wyborach to na Słowacji była najniższa w całej UE frekwencja. Ten zamach może mieć natomiast wpływ na scenę polityczną w okresie dłuższym. Choć można sobie wyobrazić partię SMER bez Roberta Fico, bo jest tam kilka innych postaci mogących pociągnąć partię dalej. Aczkolwiek to Fico stał się takim zwornikiem łączącym różne środowiska i frakcje. Paradoksalnie, jego śmierć mogłaby nawet zwiększyć popularność SMER.

Nie możemy zapomnieć o kontekście zewnętrznym. Fico nie był, delikatnie mówiąc, entuzjastą pomagania Ukrainie w wojnie z Rosją. Mówiąc o graczach zewnętrznych, kto może zyskać, a kto stracić na tym, co się wydarzyło na Słowacji?

Już się pojawiają głosy rosyjskie, mówiące o tym, że za zamachem stali Ukraińcy albo

Amerykanie. Już jest podnoszone, że zamachowiec może mieć jakieś ukraińskie czy rusińskie korzenie. Z drugiej strony pojawiają się też notki na Wikipedii w języku ukraińskim, zrobione dosłownie parę godzin po zamachu, wskazujące, że Cintula miał kontakty z Rosją. Ta walka narracji już się toczy. Nie wiadomo, która wygra - wiele będzie pewnie zależało od ustaleń śledztwa. Ale jedno jest pewne. Robert Fico przez całą swoją karierę polityczną był jednym z najbardziej prorosyjskich polityków w Europie Środkowej. Dwa dni przed pełnoskalową inwazją Rosji na Ukrainę organizował potężną manifestację, wówczas będąc jeszcze w opozycji, w Bratysławie pod hasłami „Słowacja nigdy przeciw Rosji”. Jego postawa jest jednoznaczna, prorosyjska, bardzo antyamerykańska, co nie znaczy, że antyeuropejska. Może być sugerowane, że za zamachem stały USA. Tuż przed wybuchem pełnoskalowej wojny na Ukrainie słowacki parlament przegłosował umowę obronną ze Stanami Zjednoczonymi. Fico z Pellegrinim i środowiskami skrajnie nacjonalistycznymi usiłował to zablokować. Po przejściu władzy minister obrony, bardzo kontrowersyjna postać, Robert Kaliňák zapowiedział wprost, że będzie albo za anulowaniem tej umowy albo jej głęboką weryfikacją. Mamy do czynienia z postawą jednoznacznie prorosyjską. Dziś więc Rosjanie będą na pewno budowali narrację, że zamach na Fico to dzieło ukraińsko-amerykańskie, ewentualnie, że stoją za tym koła liberalne, które chcą zniszczyć inny porządek, niż euroliberalizm wprowadzany przez Brukselę (taka narracja już się pojawia). Z drugiej strony, Ukraińcy usiłują pokazać, że Juraj Cintula miał kontakty ze środowiskami skrajnie prorosyjskimi, rozwiązana w 2022 roku organizacja paramilitarna. Która z tych narracji jest bliższa prawdzie? I która wygra? W tej chwili trudno przesądzać. Mówiąc o motywach ataku i potencjalnych zleceniodawcach, należy wyjść poza spekulacje dotyczące obcych państw. Musimy wziąć pod uwagę jeszcze jeden element, mianowicie to, że Słowacja jest państwem wyjątkowo penetrowanym przez różne grupy przestępcze czy nawet konkretne rodziny mafijne. I przez to, że Robert Fico i jego środowisko mieli mnóstwo kontaktów ze środowiskiem biznesowo-mafijnym, nie wykluczam też takiego scenariusza, że to są jakieś porachunki między grupami przestępczymi. Ze Fico mógł coś komuś obiecać i tego nie zrealizować. Może nie jest to najbardziej prawdopodobne, ale bez weryfikacji nie należy takiego scenariusza wykreślać.

PROF. MAREK GZIK: SIEDEM MILIARDÓW ZŁOTYCH WIĘCEJ NA BADANIA I ROZWÓJ POLSKIEJ NAUKI

- Powrót Narodowego Centrum Badań i Rozwoju pod nadzór MNiSW to gwarancja efektywności w przyznawaniu funduszy
- mówi prof. Marek Gzik, wiceminister nauki i szkolnictwa wyższego

Patryk Gzik

Kiedy z okazji Dnia Nauki Polskiej naukowcy składali sobie życzenia, słyszałam przede wszystkim: „Pieniądzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy”. Jak dziś wyglądają cele nowej polityki finansowej uniwersytetów i jak wygląda wsparcie dla naukowców?

Przede wszystkim chciałbym podkreślić, że polityka „Koalicji 15 Października” oraz rządu premiera Donalda Tuska przywróciła do życia Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Przez kilka lat to ministerstwo nie istniało; funkcjonuje ponownie od 1 stycznia. To istotne, ponieważ rząd kładzie ogromny nacisk na znaczenie nauki dla rozwoju gospodarczego kraju. Jednym z konkretnych działań jest znaczący wzrost nakładów na naukę i rozwój. Budżet na ten cel został zwiększony o 7 miliardów złotych, z 31 do 38 miliardów złotych. Wzrost ten obejmuje środki przeznaczone dla uczelni wyższych, Polskiej Akademii Nauk, Instytutów Sieci Łukasiewicza, Narodowego Centrum Nauki oraz innych. Pozwoliło nam to podnieść wynagrodzenia nauczycieli akademickich o 30 procent, a pozostałym pracownikom uczelni o 20 procent. Polska Akademia Nauk otrzymała 190 milionów złotych, co pozwoliło na podwyżki pensji o ponad 20 procent. To pokazuje bezprecedensowy wzrost nakładów na naukę, ale też dowodzi, jak rząd poważnie traktuje problemy, które narastały w ostatnich latach.

Które problemy ma pan na myśli?

Mówię przede wszystkim o deprecjonowaniu wynagrodzeń w środowisku naukowym.

Wiele młodych, zdolnych osób opuszczało uczelnie, wybierając lepiej płatne stanowiska w przemyśle. Liczymy na to, że te podwyżki wynagrodzeń znacznie poprawią atmosferę w środowisku naukowym i zatrzymają odpływ młodych talentów. Szczególnie zależy nam na zatrzymaniu młodych naukowców, ale też na przyciągnięciu nowych, utalentowanych badaczy. Polska ma ambicję stać się krajem coraz silniejszym naukowo i gospodarczo, a solidne wsparcie finansowe dla naukowców to podstawowy element tej strategii.

Jak resort - w ramach polskiego systemu szkolnictwa wyższego - zamierza zachęcać do integracji nauki i biznesu?

To jest trudne zadanie, zwłaszcza gdy porównujemy się z krajami wysoko rozwiniętymi, gdzie udział biznesu w badaniach naukowych wynosi ponad 20 procent. U nas ten wskaźnik jest znacznie niższy, co wynika głównie z tego, że nasz przemysł nie jest jeszcze tak zasobny i bogaty. Wciąż mamy do czynienia z procesem, w którym krajowe firmy nie są tak innowacyjne i nie przeznaczają wiele na badania i rozwój. A brak inwestycji w badania i rozwój ogranicza innowacyjność firm. Jednak widzimy stopniowy wzrost tych nakładów, choć nadal jesteśmy daleko od poziomu krajów zachodnich.

Jak by pan podsumował - jakie są najważniejsze wyzwania i priorytety dla szkolnictwa wyższego na najbliższe lata?

Zastaliśmy pewien stan rzeczy, który wymaga poprawy, zwłaszcza w obszarze ewaluacji jednostek naukowych oraz

przyznawania kategorii, które decydują o wysokości subwencji. W ostatnich latach pojawiły się nieprawidłowości w ocenie czasopism i dyscyplin naukowych, co prowadziło do przyznawania wysokich kategorii uczelniom, które na to nie zasługiwały. To spowodowało spłaszczenie osiągnięć wszystkich uczelni. Naszym celem jest wzmocnienie uczelni, które mają potencjał do konkurowania na arenie międzynarodowej.

Czy to znaczy, że będą one lepiej finansowane?

Pozytywnie oceniamy program „Inicjatywa doskonałości - uczelnia badawcza”. Obiektywną ocenę przeprowadzili zagraniczni eksperci, co pozwoliło wyróżnić polskie uczelnie o największym potencjale i pomysły na dalszy rozwój. Do tej grupy zakwalifikowano 10 wiodących uczelni oraz 10 pretendujących do tego miana. Pojawiły się jednak wątpliwości, gdy dodatkowo 11 uczelni zostało objętych programem wsparcia. Obawiamy się, że jeśli będziemy wspierać wszystkie uczelnie w ten sam sposób, stracimy możliwość wyróżnienia tych najlepszych. Jakość jest dla nas niezwykle ważna. W każdym kraju istnieją wiodące uczelnie, wokół których buduje się silne ośrodki gospodarcze. W Polsce jest podobnie, wśród 10 wiodących uczelni mamy te, które znajdują się między innymi w Warszawie, na Śląsku, we Wrocławiu, w Krakowie i Gdańsku - to są również silne regiony gospodarcze. Chcemy kontynuować rozwój w tym kierunku, dlatego weryfikacja ostatnich ocen ewaluacyjnych jest jednym z naszych priorytetów. Kolej-



Prof. Gzik: Jednym z konkretnych działań jest znaczący wzrost nakładów na naukę i rozwój. Budżet na ten cel został zwiększony o 7 miliardów złotych

nym priorytetem jest wsparcie nauki ze strony biznesu, co pozwoli podnieść wynagrodzenia i uczynić zatrudnienie na uczelniach bardziej atrakcyjnym dla młodych ludzi. Silna nauka nie może istnieć bez kompetentnych, zdolnych młodych ludzi. Już teraz widzimy pozytywne efekty wzrostu nakładów i podniesienia wynagrodzeń, które poprawiły sytuację w naszych ośrodkach naukowych. Musimy jednak nadal pracować nad tym, aby zbudować solidne podstawy finansowe dla dalszego rozwoju infrastruktury i wynagrodzeń. Dzięki temu nasze ośrodki będą mogły myśleć o dalszym rozwoju i umacnianiu swojej pozycji.

Cieszy pana, że Narodowe Centrum Badań i Rozwoju znowu jest pod zarządem Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego?

Tak, Narodowe Centrum Badań i Rozwoju wróciło pod nadzór Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, co było dość oczywiste, ponieważ gdy ministerstwo zniknęło, NCBiR musiało znaleźć inny nadzorujący resort. Z chwilą przywrócenia Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego logiczne było, że tak ważna agenda jak Narodowe Centrum Badań i Rozwoju, której misją jest wspieranie rozwoju naukowego naszego kraju i realizacja polityki naukowej państwa, wróci pod nasz nadzór. Mam z tego powodu wiele satysfakcji, jak też mam tę przyjemność odpowiadać za tę instytucję w ramach ministerstwa. NCBiR ma bardzo ważną misję - dba o to, by pieniądze przeznaczone na projekty badawcze i rozwój technologiczny były wydawane efektywnie. Na-

szym celem jest, aby projekty składane przez środowiska akademickie, naukowe oraz biznesowe zamieniały się w produkty i technologie, które będą przyczyniać się do rozwoju naszego kraju.

Jakie kroki ministerstwo podejmuje, aby wyeliminować nieprawidłowości zidentyfikowane w NCBiR?

Obecnie prowadzimy wiele postępowań wyjaśniających. Dokumenty dotyczące licznych nieprawidłowości zostały przekazane z Najwyższej Izby Kontroli do prokuratury. Myślę, że istnieją podstawy do postawienia zarzutów osobom odpowiedzialnym za te nieprawidłowości. Mamy nadzieję, że prokuratura wkrótce rozpocznie postępowania na podstawie zgromadzonego materiału, a osoby winne poniosą odpowiednie konsekwencje.

Czy mogą zostać postawione zarzuty karne?

Tak, spodziewamy się, że kolejne osoby będą pociągane do odpowiedzialności, ponieważ zakres tych nieprawidłowości wykracza poza zwykłe postępowania dyscyplinarne. Mówimy tu o działaniach, które mogą być uznane za przestępstwa.

Mógłby pan podać konkretny przykład?

Jest to przedmiotem kilku postępowań prowadzonych przez prokuraturę oraz inne służby. Nie jestem upoważniony do ujawniania szczegółowych informacji na ten temat.

Jakie obawy i uwagi miała Komisja Europejska podczas spotkań dotyczących NCBiR i jakie są plany na ich rozwiązanie?

NCBiR jest agencją pośredniczącą, która korzysta ze środków unijnych i dystrybuuje je poprzez transparentne programy i procedury, mające na celu zapobieganie nieprawidłowościom i działaniom korupcyjnym. Komisja Europejska miała pewne obawy dotyczące systemowych nieprawidłowości, które objawiały się w złej i nieobiektywnej ocenie projektów oraz w wątpliwościach co do transparentności przeprowadzania konkursów. Podstawy do postępowań prokuratorskich, o których wcześniej wspominałem, są również znane Komisji Europejskiej, która zgłosiła swoje zastrzeżenia. Jednak podjęte przez nas działania uspokoiły komisję, że wracamy na właściwe tory i przywracamy prawidłowe funkcjonowanie tej instytucji. Dzięki tym działaniom uniknęliśmy ryzyka utraty uprawnień.

Można zwiększyć przejrzystość w przyznawaniu funduszy w NCBiR w świetle tych ujawnionych problemów?

Najważniejszym problemem była ingerencja polityków i osób związanych z NCBiR w proces recenzowania projektów. Teraz oddzielamy te wpływy i mogę zagwarantować, że będziemy kładli duży nacisk na niezależność i profesjonalizm procesu oceny. Urzędnicy NCBiR będą mieli pełne poczucie bezpieczeństwa, wiedząc, że nikt z polityków nie będzie ingerował w ich pracę. Ranking projektów będzie tworzony na podstawie ocen ekspertów, a nie ręcznego sterowania. Kolejny problem to utrata wielu ekspertów, co zmniejszyło naszą bazę ekspertów z 2000 do 300 specjalistów. Intensywnie pracujemy nad odbudową tej bazy do co najmniej 1000 ekspertów, a najlepiej jeszcze więcej, aby zapewnić merytoryczną i szybką ocenę wniosków. Im więcej ekspertów, tym szybciej i dokładniej możemy przeprowadzić ocenę projektów. Najważniejsze jest jednak wyraźne oddzielenie procesu oceny od jakiegokolwiek ingerencji politycznej. Żaden członek Rady NCBiR ani polityk nie będzie miał możliwości wpływu na ocenę i ogłaszanie wyników konkursów. Jestem gwarantem tego procesu, a premier Donald Tusk również bardzo interesuje się sprawami NCBiR i docenia znaczenie tej instytucji dla nauki i rozwoju naszego kraju. Do wszystkich, którzy mogliby mieć pokusę ingerowania, został wysłany wyraźny sygnał - takiej możliwości absolutnie nie będzie. Urzędnicy będą pracowali w granicach swoich kompetencji, oddzieleni od jakichkolwiek zewnętrznych wpływów, skupiając się na merytorycznej ocenie projektów.

Biegła w swoim „fachu” - to na pewno powiedziec można o pannie Ł. Czy miała się od kogo uczyć i z kim współpracować? Nosi nazwisko znane nie tylko w Polsce, ale całej Europie. To samo nosi „Hoss”, czyli twórca mafii oszukującej seniorów metodą „na wnuczka”, i jego brat, też przestępca. To samo nazwisko noszą członkowie rodzinnego ganku oszustów, głównie romskiego pochodzenia, którzy byli lub nadal są poszukiwani. Śledczy tej zbieżności oficjalnie jednak nie komentują.

Nazwisko panny Anny poznać może teraz każdy, kto zajrzy na stronę internetową Sądu Rejonowego w Toruniu. Na mocy ostatniego wyroku dla tej młodej kobiety, już prawomocnego, został on podany do publicznej wiadomości w formie publikacji na sądowej stronie właśnie.

A sam wyrok łagodny nie jest. Za oszukanie dwojga seniorów w Toruniu i Bydgoszczy 26-latką skazana została na trzy lata i osiem miesięcy bezwzględnej więzienia. Bo i bezwzględnie zmanipulowała swoje ofiary, wykorzystując perfekcyjnie ich nieporadność i bazując na podstawowym odruchu, który ma każdy rodzic, gdy słyszy o zagrożeniu życia swojego dziecka... To już druga odsiadka więzienna młodej oszustki.

Pan Tomasz w Toruniu. „Córka chora na Covid, ale jest lekarstwo”

Do obu oszustw w największych miastach Kujawsko-Pomorskiego doszło wiosną ubiegłego roku. W Toruniu ofiarą padł pan Tomasz - wdowiec w podeszłym wieku, mieszkający na Bydgoskim Przedmieściu. Oszukany został w maju, miesiącu dla niego szczególnym.

1 maja zeszłego roku męczyczna najpewniej trwał w zadumie i wspomnieniach. Tego dnia odbyła się msza święta odprawiona za pamięć jego zmarłej żony. Byli dobrym małżeństwem i przeżyli ze sobą dziesięciolecie - w maju 2017 roku odebrali nawet medal z rąk prezydenta miasta, przyznawany za wieloletnie pożycie właśnie. Panna Anna ze swoją perfidną manipulacją pojawiła się więc w specyficznym czasie.

Kilka dni później pan Tomasz odebrał telefon. To, co usłyszał, musiało go przerazić. Kobieta powiedziała, że jego córka ciężko zachorowała - na Covid-19. Konieczne jest podanie przez lekarzy lekarstwa ratującego życie. Cena? 41 600 zł.

„Legenda” uderzająca w najczulszy punkt każdego rodzica, presja czasu i nieporadność przerażonego seniora - to wszystko miało przynieść oczekiwany przez oszustkę i jej współników skutek. Ojciec zorganizował pieniądze i 9 maja 2023 roku przekazał całą wspo-



FOT. POLICJA

PANNA ANNA I OSZUKANI SENIORZY

26 lat i dwa wyroki za oszustwa. Inazwisko znane w całej Europie. W Toruniu i Bydgoszczy od dwojga seniorów wyłudziła prawie 100 000 zł - na leki ratujące życie ich dzieci, ponoć chorych.

Małgorzata Oberlan

mniana kwotę - w gotówce - pannie Annie.

Oczywiście, córka chora nie była i żadnego leku ratującego życie nie potrzebowała. To jednak okazało się post factum.

Przy tej okazji jednak oszustka wpadła. - Na gorącym uczynku - podkreśla prokurator Marcin Licznarski, szef Prokuratury Rejonowej Toruń Centrum Zachód. - Pieniądże w tym przypadku od razu zostały zwrócone pokrzywdzonemu.

Innych szczegółów śledczy nie przekazują. Można się jednak domyślać, że oszustka wpadła dzięki szybkiemu odkryciu jej manipulacji przez ojca i córkę.

Pani Bogna w Bydgoszczy. „Syn ma sepsę i trzeba ratować”

Podobny scenariusz, choć nie identyczny, oszustka ze współnikami zastosowała wobec seniorki z Bydgoszczy. Tym razem chodziło o panią Bognę mieszkającą na Osiedlu Leśnym.

To był 19 kwietnia 2023 roku. Jak opisuje zdarzenie Sąd Rejonowy w Toruniu, tego dnia panna Anna „działając wspólnie i w porozumieniu z nieustalonymi osobami wprowadziła

pokrzywdzoną podczas rozmowy telefonicznej w błąd, co do faktu zachorowania na sepsę jej syna, którego stan zdrowia jest bardzo ciężki”.

Więcej! Oszustka przekonała seniorkę także do tego, że i ona sama jest najprawdopodobniej

zarażona. Jednak - jest ratunek. Tylko trzeba działać szybko. Synowi może być podane lekarstwo, kosztujące 70 000 złotych, ratujące życie i zdrowie.

Przerażona pani Bogna zorganizowała sumę, którą wskaza-

dzy - znów w gotówce - do rąk własnych oddała Annie Ł.

Rzecz jasna i w tym przypadku żadnej choroby nie było. Syn nie miał sepsy, a kosztowne leczenie było tylko „legendą”. Oszustom znów udało się perfekcyjnie zbudować historię, napięcie i wykorzystać serce matki, która, słysząc o chorobie dziecka, rzuciła się na ratunek...

Wyrok: więzienie, zwrot pieniędzy bydgoszczance i publiczny pręgierz

Młoda oszustka wpadła przy okazji majowego oszustwa w Toruniu (już wtedy policja miała zgłoszenie o przestępstwie kwietniowym w Bydgoszczy). W stan oskarżenia postawiła ją toruńska prokuratura i sądzona była przed Sądem Rejonowym w Toruniu. Sędzia Tomasz Łętowski uznał ją za winną obu zarzucanych oszustw wobec seniorów - wątpliwości nie było, bo kobieta się przyznała.

- Wyrok wobec Anny Ł. został wydany w trybie dobrowolnego poddania się karze i prokuratura zaakceptowała to orzeczenie jako słuszne - dodaje prokurator Marcin Licznarski, szef Prokuratury Rejonowej Toruń Centrum Zachód.

3 lata i 8 miesięcy bezwzględnego więzienia - to kara główna dla Anny Ł. „Na mocy art. 43 b Kodeksu karnego sąd orzeka też podanie treści wyroku do publicznej wiadomości poprzez opublikowanie go na stronie internetowej Sądu Rejonowego w Toruniu” - ogłosił sędzia Łętowski.

Poza tym Anna Ł. zobowiązana została do naprawienia szkody, czyli zwrotu wyłudzonych pieniędzy seniorce z Bydgoszczy. Na poczet kary więzienia zaliczono oszustce czas, który spędziła już za kratami jako tymczasowo aresztowana - od wpadki w Toruniu dnia 9 maja 2023 roku do 3 września tegoż roku.

Wyrok się uprawomocnił i publiczny pręgierz już działa - orzeczenie upubliczniono, Anna Ł. natomiast trafiła do więzienia. Nie pierwszy raz!

Pochodząca z Łodzi kobieta dziś ma 26 lat. Dokonując oszustw w Kujawsko-Pomorskiem była o rok młodsza. A już miała na koncie wyrok za podobne oszustwa - wydany przez Sąd Rejonowy Lublin Wschód. Na jego mocy odsiedziała w więzieniu swoją pierwszą karę - niecały rok, od czerwca 2021 do kwietnia 2022 roku. W Toruniu sądzona była już zatem jako recydywistka i miało to wpływ na wysokość kary.

Nazwisko znane w Polsce i Europie. Od najgorszej strony

Panna Anna, jak wspomnieliśmy na wstępie, nosi nazwisko dobrze znane organom ścigania nie tylko w kraju, ale i za granicą. To jej nazwisko „z domu”, panińskie i nadal noszone.

To samo nazwisko nosi Arkadiusz Ł. pseudonim Hoss, nazywany „królem mafii wnuczkowej” i uznawany za twórcę tej oszukańczej metody. Był szefem jednej z największych grup przestępczych tego typu w Europie. Kilkukrotnie skazywany już był na karę więzienia.

Nazwisko Ł. noszą również liczni członkowie „oszukańczego gangu”, jak to określają kryminalni i media, głównie romskiego pochodzenia, którzy byli lub są nadal ścigani za tego typu oszustwa - między innymi przez policję w Poznaniu czy Wrocławiu.

Skuteczne ściganie i osądzanie jednych oszustów procedur, który stał się plagą, nie kończy. I chociaż oszustwo metodą „na wnuczka”, „na policjanta” czy inną podobną legendę wydaje się proste, wcale takie nie jest. Zwłaszcza gdy przestępcy chcą z niego zrobić stałe źródło utrzymywania.

„Wymaga ono perfekcyjnej organizacji i współpracy wielu osób działających w różnych krajach, mających ściśle przypisane role, ciągle zmieniających miejsce pobytu, a podczas działania pozostających ze sobą w kontakcie. Procederem tym zajmują się przede wszystkim polscy i niemieccy Romowie” - opisuje portal gazeta.policja.pl.

- To są rodzinne, bardzo hermetyczne klany. Trudno do nich dotrzeć. Panują tam prawa obyczajowe - mówił temu portalowi oficer CBŚP, który przed laty na warszawskiej Woli zatrzymał „Hossę”. - U nich ważne jest doświadczenie. Codziennie wykonują po kilkaset telefonów. Za każdym razem ćwiczą sposób rozmowy. Bazują na ludzkich instynktach, czyli chęci pomocy, i na tym, że starsi ludzie często niedoświadczą i sami typują, kto do nich dzwoni. Jeżeli dzwoni dobry znajomy lub członek rodziny, oni nie zastanawiając się, działają. Refleksja przychodzi później. Przestępcy są bardzo konsekwentni. Gdy już złapią ofiarę, dzwonią do niej co chwilę, by osoba nie miała czasu pomyśleć, gdzieś zadzwonić, by dopytać, o co chodzi. Oszukiwanego monitorują, aż do odbioru pieniędzy z banku, a gdy wiedzą, że osoba ma pieniądze w domu, kontrolują ją. By z domu się nie ruszyła.

Wiadomo, że Anna Ł. w Toruniu i Bydgoszczy nie działała sama. Podkreślił to także w wyroku sąd. - Oskarżona nie wydała jednak nikogo ze współników - mówi prokurator Marcin Licznarski.

Pozostali „nieustalonymi osobami, z którymi działała wspólnie i w porozumieniu w celu osiągnięcia korzyści majątkowej”.

PS. Imiona oszukanych seniorów zostały w tekście zmienione.

Ligrzysk najpierw wycofała się reprezentacja ZSRR i była to decyzja czysto polityczna - władza sowiecka w ten sposób chciała się zrewanżować za bojkot igrzysk w Moskwie. W ślad za ZSRR poszły Bułgaria, NRD, Wietnam, Mongolia, Czechosłowacja, Laos i Afganistan. Później podobną decyzję narzucono sportowcom innych krajów socjalistycznych: Polski, Kuby, Etiopii, Korei Północnej oraz Węgier.

Nie jedziemy!

Sięgnijmy do tekstu decyzji, którą podjął zarząd PKOl: „Po wszechstronnej dyskusji i uwzględnieniu wszystkich elementów sytuacji zaistniałej wokół Igrzysk w Los Angeles, PKOl postanowił nie zgłaszać polskiej reprezentacji do udziału w tych Igrzyskach. Mamy pełną świadomość, że jest to decyzja przykra, przede wszystkim dla zawodników, ale i dla milionów sympatyków sportu w naszym kraju”.

Groźniejsze akcenty pojawiły się w dalszej części tekstu: „Powstała nieznosna sytuacja: bezkarnie działają dywersyjne organizacje stawiające sobie za cel niedopuszczenie do udziału w Igrzyskach sportowców radzieckich i innych krajów socjalistycznych, przygotowuje się werbowanie uciekinierów i gromadzi się na ten cel specjalne fundusze, grozi się prowokacyjnymi akcjami. (...) Znane są nam też przygotowania różnych antypolskich ośrodków w Los Angeles do prowadzenia działalności dywersyjnej wobec ekipy polskiej”.

„Przyjaźń-84”

Na końcu PKOl apelował do sportowców „o godną postawę w zaistniałej sytuacji”, co przez wielu odebrane zostało jako szyderstwo. Trudno było bowiem o „godną postawę” w sytuacji, gdy za ocean nie mogli pojechać zawodnicy, którzy mieli duże szanse na medale. Warto przypomnieć, że w polskiej ekipie byli wówczas m.in. tyczkarz Władysław Kozakiewicz, biegacz Bogusław Mamiński czy będące z znakomitej formy drużyny piłkarzy ręcznych i siatkarzy.

Niejako na otarcie łez zorganizowano cykl quasi-olimpijskich zawodów pod nazwą „Przyjaźń-84”. Jako powód organizacji zawodów „Przyjaźń-84” podawano umożliwienie „zaprezentowania umiejętności i formy na zakończenie 4-letniego cyklu olimpijskiego sportowcom, którzy nie mogli uczestniczyć w XXIII Letnich Igrzyskach Olimpijskich Los Angeles 1984”.

Zawody były rozgrywane w dziedzińcu państwowych, które zbojkotowały Los Angeles, od ZSRR po Koreę. W Polsce rywalizowano w jeździectwie, judo, tenisie, hokeju na trawie kobiet i pięcioboju nowoczesnym.



Letnie Igrzyska Olimpijskie 1984, oficjalnie Igrzyska XXIII Olimpiady zorganizowano w Los Angeles w Stanach Zjednoczonych w dniach od 28 lipca do 12 sierpnia 1984

SPORT, POLITYKA I BOJKOT. JAK POLACY NIE POJECHALI NA IGRZYSKA W USA

17 maja 1984 r. Polski Komitet Olimpijski ogłosił decyzję, że Polacy nie pojadą na letnie igrzyska w Los Angeles

Mariusz Grabowski

48 rekordów świata

„Przyjaźń-84” była istnym popisem propagandy socjalistycznej. Nawet termin rozgrywania zawodów wybrano tak, by nie kolidowały ze zmaganiem olimpijczyków. Po to, aby umożliwić start również reprezentantom państw, które nie bojkotowały igrzysk w Los Angeles.

Oblicza się, że w zawodach udział wzięło 2300 sportowców z 50 państw. Mottem zawodów było hasło: „Sport, przyjaźń, pokój”, a ceremonia otwarcia odbyła się na stadionie Łuźniki w Moskwie. Znicz zapalił dwukrotny mistrz olimpijski w biegu na 400 metrów - Wiktor Marki. Pochodnia została zapalona od wiecznego ognia płonącego dla ofiar II wojny światowej znajdującego się na Kremlu.

Co ciekawe, sportowy poziom zawodów „Przyjaźń-84” był wysoki, a wyniki uzyskiwane w niektórych konkurencjach były lepsze niż te w Los Angeles. Przykładowo w 28

spośród 41 konkurencji lekkoatletycznych uzyskano lepsze wyniki (np. Marlies Göhr w biegu na 100 metrów czy Uwe Hohn w rzucie oszczepem). Podczas zawodów „Przyjaźń-84” sportowcy pobili łącznie 48 rekordów świata (z tego 22 sportowcy reprezentujący Związek Radziecki) w kolarstwie, lekkoatletyce, pływaniu i podnoszeniu ciężarów.

Miasto mordu i smogu

Wróćmy do decyzji ZSRR o bojkocie Los Angeles. Wynikała ona z logiki politycznej toczzonej od kilku dekad zimnej wojny: skoro Amerykanie zbojkotowali Igrzyska Olimpijskie w Moskwie w 1980 r., należało odpowiedzieć tym samym. Sekwencja wydarzeń była następująca: prezydent USA Jimmy Carter zaapelował o bojkot nadchodzących igrzysk w Moskwie - była to reakcja na inwazję ZSRR na Afganistan, dokonaną w 1979 r. Apel spotkał się z szerokim od-

zewem społeczności międzynarodowej.

8 maja, na konferencji prasowej w Moskwie, szef tamtejszego komitetu olimpijskiego Marat Gramow mówił, że „amerykańskie służby bezpieczeństwa pozwoliły przeniknąć do komitetu organizacyjnego terrorystom i ekstremistom, że ćwiczone są metody porwania sportowców z krajów radzieckich, podawanie im leków, w tym psychotropowych, niszczących układ nerwowy”.

W tym samym czasie prasa bloku socjalistycznego opisywała Los Angeles jako miasto mordu, smogu i kapitalistycznej degrengolady. Dodajmy, że Igrzyska letnie kojarzyły się pod koniec lat 70. z samymi katastrofami: zamachem palestyńskich terrorystów na izraelską ekipę w Monachium w 1972 r., czy fatalną organizacją igrzysk w Montrealu w 1976 r., po których mieszkańcy Quebecu spłacali długi jeszcze w XXI w.

Mcdonaldyzacja igrzysk

Oświadczenie PKOl o bojkocie Igrzysk wydrukował na pierwszej stronie „Przegląd Sportowy” z 18 maja 1984 r. W komentarzach sugerowano, że Amerykanie nie tylko nie umieją zabezpieczyć bezpieczeństwa sportowców, ale - co gorsza - oddali organizację zawodów w „ręce prywatne”, czyli żądnym kasy kapitalistom. Socjalistyczny czytelnik miał to zrozumieć jednoznacznie: organizatorzy może i mają dobre chęci, ale zupełnie nie panują nad tym, co się dzieje. W domyśle: dają się wykorzystywać administracji Ronalda Reagana do jej niecznych antyradzieckich celów.

„Los Angeles 1984 to były rzeczywiście igrzyska niemal prywatne, organizowane przez władze lokalne i biznesmena Petera Ueberrotha bez wsparcia z budżetu federalnego (mimo że Kalifornia to był matecznik Ronalda Reagana), z wieloma zgrzytami we współpracy z administracją federalną. Pierwsze igrzyska ery

prawdziwego zarabiania na pięciu kółkach olimpijskich: z programem sponsorskim, wyciskaniem każdego dolara z handlu biletami, licencjami i prawami telewizyjnymi” - pisał w 2019 r. Paweł Wilkiewicz w tekście „Mija 35 lat od bojkotu Los Angeles”, zamieszczonym na stronie Sport.pl.

Rumunia także?

Owa „prywatyzacja” zawodów miała realne, niekoniecznie polityczne konsekwencje. Np. grecki komitet olimpijski nie chciał się początkowo zgodzić na odpalenie w Olimpii ognia dla sztafety ze zniczem, bo sztafeta też została sprywatyzowana. „Sponsorowała ją firma AT&T, sztafetę organizowała firma PR obsługująca AT&T, prawo do biegu ze zniczem można było sobie wykupić albo wygrać na loterii, wszyscy uczestnicy musieli mieć identyczne uniformy: stroje sponsorował Levis, a buty Converse” - dodaje Wilkiewicz.

Jedynymi państwami socjalistycznymi, które nie zbojkotowały Igrzysk, były Chiny, Ludowa Republika Konga, Jugosławia i Rumunia. Ich udział w imprezie był nie tylko sukcesem amerykańskich organizatorów, ale też wizerunkowym polickiem dla ZSRR.

Ale choć sportowcy do Los Angeles nie pojechali, czytelnicy w demouladach mieli dostęp do olimpijskich newsów. Państwa socjalistyczne wysłały bowiem za ocean swoich zaufanych korespondentów. Z Polski opisywać igrzyska polecał m.in. Zygmunt Broniarek.

Reagan na stadionie

A miał co pisywać. Letnie Igrzyska Olimpijskie w 1984 r., czyli oficjalnie Igrzyska XXIII Olimpiady, trwały od 28 lipca do 12 sierpnia. Były to drugie w historii igrzyska zorganizowane w największym mieście Kalifornii oraz trzecie na terenie Stanów Zjednoczonych. Głównym obiektem Igrzysk był stadion Los Angeles Memorial Coliseum, na którym uroczystego otwarcia dokonał prezydent Ronald Reagan, a znicz zapalił lekkoatleta Rafer Johnson.

W rywalizacji udział wzięło 6797 sportowców ze 140 państw. Zakończyły się zwycięstwem gospodarzy w klasyfikacji medalowej: Amerykanie zdobyli łącznie 83 złote medale. Na drugim miejscu z 20 złotymi medalami uplasowała się reprezentacja Rumunii, na trzecim Niemcy. Gwiazdami Igrzysk zostali gimnastyczka Ecaterina Szabó z Rumunii i amerykański biegacz i skoczek w dal Carl Lewis.

I jeszcze ciekawostka: W 2006 r. pojawiła się propozycja przyznania polskimi medalistom zawodów „Przyjaźń-84” takich samych uprawnień, czyli tzw. emerytury olimpijskiej, jak medalistom olimpijskim. 19 lutego 2007 r. prezydent Lech Kaczyński podpisał ustawę przyznającą im te uprawnienia.

Wojciech Rogacin

RETORYKA NIENAWIŚCI
I JEJ OWOCE

S trzały oddane w kierunku premiera Słowacji Roberta Fico wywołały szok w całej Europie. Od czasu zabójstwa Olofa Palmego w Szwecji w początkach 1986 roku nie było na naszym kontynencie zamachu na przywódcę urzędującego państwa. Nie są przesadą słowa wielu polityków, w tym prezydent Słowacji Zuzany Čaputovej, że zamach na premiera tego kraju był jednocześnie zamachem na demokrację. Oto bowiem jeden człowiek targnął się na życie premiera wybranego w demokratycznych wyborach.

Właściwie mniej istotne są szczegółowe motywy, jakimi sprawca się kierował. Jedno jest pewne: za tym czynem stała nienawiść. Nienawiść do tego, co prezentuje premier Fico. Podobnie jak nienawiść była przyczyną zabójstwa prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza podczas finału WOŚP w tym mieście w 2019 roku. Tak samo była ona przyczyną zabójstwa Marka Rosiaka w 2010 roku, pracownika biura poselskiego Prawa i Sprawiedliwości w Łodzi. Podobnie zresztą jak inne takie przypadki w historii polityki na całym świecie.

Jak powiedziała Zuzana Čaputová, retoryka nienawiści prowadzi do nienawiści. A ta retoryka stała się niestety chorobą naszych czasów. Robert Fico sam dał się poznać jako polityk kontrowersyjny. Spory i podziały polityczne budowane na Słowacji, również z jego udziałem, wywoływały w tym kraju ogromne emocje. Dzisiaj zresztą wielu polityków celowo stawia na polaryzację społeczeństwa, bo dzięki niej łatwiej mobilizować zwolenników, łatwiej zyskać poparcie wokół jakiejś idei. Niestety, często w ten sposób wywołują skrajnie negatywne emocje, które w efekcie prowadzić mogą do tego, co się wydarzyło na Słowacji, a wcześniej w Polsce: w Gdańsku czy Łodzi.

Premierzy, przywódcy państw, politycy, którzy piszą dziś o szoku i współczuciu dla premiera Fico, o potrzebie powstrzymania fali nienawiści, powinni przejrzeć się w zwierciadło i przeanalizować pod tym kątem własne działania.

Trudno uwierzyć, by to uczynili, jednak apelować warto.

Marcin Kędryna

ROSYJSKA PAŁKA



W zeszłym tygodniu miałem urodziny. W maju. Jak co roku, od kiedy pamiętam.

Miałem je spędzać na wsi. Sącząc piwo, zastanawiać się nad upływem czasu. Niestety, sytuacja zmusiła mnie do nagłego wyjazdu do Warszawy, gdzie nastroju specjalnego do świętowania nie miałem. W każdym razie wieczorem wylądowałem w Krakowie z Kubą, kolegą z mojej poprzedniej pracy, no i Vincentem, Francuzem, którego poznałem parę miesięcy temu.

Vincent w Polsce mieszka od kilkunastu lat. Jest prawnikiem. Każdemu chyba, kogo spotka, tłumaczy, że Polska ma jeszcze szansę, by się obronić przed najazdem migrantów. Francja już tej szansy nie ma. Jest właściwie stracona. Vincent z dumą opowiada o swojej służbie wojskowej. Poza tym pochodzi z Lille. Jego najlepsi przyjaciele, sądząc po brzmieniu nazwisk, byli wnukami kolegów Edwarda Gierka.

Vincent z Kubą znaleźli wspólny język. Angielski. Szybko zaczęli omawiać politykę, po czym przeszli do geopolityki. Doszli do tematu Rosji. I o mało się nie skończyło mordobiciem, gdyż Vincent tłumaczył, że bez współpracy z Rosją Europa nie ma przyszłości. Bez współpracy z Rosją jest skazana na to, żeby być amerykańską kolonią, bo europejscy politycy są słabi, a Unia Europejska w obecnym kształcie osłabia potencjał Europy. Kuba tłumaczył, że Rosja to zło, co widać po tym, co wyprawia na Ukrainie. Vincent odpowiadał, że na wojnie zawsze się zło dzieje, a przecież Rosjanie są tacy jak my. Kiedy pogonią Putina, jakoś się z nimi dogadamy. Im bardziej Kuba tłumaczył, że z Rosjanami jest problem, z tym większą wyższością patrzył na niego Vincent. W domyśle: myśmy się z Niemcami mogli dogadać, a wy z Rosjanami nie potrafiacie?

Różnica między Polakami a Francuzami jest taka, że w XX wieku Rosjanie przez Polskę przechodzili kilka razy. A przez Francję – nie. Francuzi nie pamiętają, jak to jest. Musimy im to tłumaczyć. Zwłaszcza tym, których Rosja tak fascynuje.

Z dziesięć lat temu byłem w Sopocie na imprezie Nissana. Pokazywali jakieś samochody. Nie bar-

dzo pamiętam jakie. Pamiętam za to wieczór, którego najważniejszym gościem był szef Nissana na naszą część Europy. Rosjanin. W sumie sympatyczny. Z zażenowaniem przyjmował wiernopoddańcze korpohody, jakie składali mu polscy menedżerowie. Wyraźniej wolał z kimś pogadać. Padło na mnie. Po tym, jak powymienialiśmy się dowcipami o Czapajewie, zaczął mnie traktować jak znawcę Rosji, Rosjan i przede wszystkim sowieckich ludzi, a równocześnie człowieka z Europy Środkowej, który pewne rzeczy mógł mu wyjaśnić. Pracował na Węgrzech. Nie mógł zrozumieć, dlaczego gdy ląduje w Budapeszcie (leć z Rosji) zwykłe celnicy robią mu nieprzyjemności. A jak leci do centrali do Francji, zawsze jest kulturalnie. Zapytałem go, kiedy ostatni raz francuska armia była w Paryżu.

- Z dwadzieścia lat temu - odpowiedział.

- A na Węgrzech? - zapytałem.

- W 1945.

- Kiedy?

- No, w 1956.

- I tu masz odpowiedź. Być może jakiś Rosjanin zastrzelił dziadka tego twojego celnika i zawsze, jak widzi rosyjski paszport, to mu się historia tego dziadka przypomina.

A Francuzi już nic nie pamiętają. Nawet tego, skąd się wzięła nazwa „bistro”.

Węgry pamiętają, a wszyscy mówią, że są prorosyjscy. Nie są. Węgry robią interesy z Rosjanami, bo uważają, że skoro interesy z Rosjanami robią Niemcy i Francuzi, to oni też mogą. Jak kiedyś ktoś powiedział, Węgry to małe państwo, które ma się za lokalne mocarstwo. W przeciwieństwie do Polski, która będąc lokalnym mocarstwem, ma się za państwo małe.

Ludzie z PiS-owskiego MSZ-u, których pytałem o blokowanie przez Orbana sankcji na Rosję, odpowiadali, że Orban nigdy żadnych sankcji nie zablokował. Zawsze się zgadzał, ale zanim się zgodził, zawsze załatwiał w Brukseli jakieś swoje sprawy, czym do pasji doprowadzał brukselskie elity. W ten sposób został rosyjskim agentem. Tak często mu to powtarzano, że chyba nawet sam w to uwierzył.

Przydługa opowieść wieść ma do konstatacji, że zwykle zarzuty o prorosyjskość służą do załatwiania jakichś swoich interesów. To po pierwsze. A po drugie, że bez rozmawiania z zachodnioeuropejskimi zwolennikami opcji rosyjskiej, nie ma szans, by przejrzeć na oczy. Kwestia Rosji to zbyt poważna sprawa, by się nią jak pałką okładać.

Stavimil: Auto stakomit a štart trizmo

ROZWIĄZANIE: OD SIEBIE UCIEKAMY ZAWSZE Z SOBĄ.

REKLAMA

0010985611

Nekrologi i kondolencje

przyjmowane są od poniedziałku do piątku w godzinach 8.30-15.30

- bezpośrednio w Biurze Ogłoszeń, **Gdańsk, Połęże 3, tel. 58/300 32 11**
- drogą mailową: **nekrologi@prasa.gda.pl**
- poprzez Internetowe Biuro Ogłoszeń **ibo.polskapress.pl**
- w zakładach pogrzebowych współpracującymi z Dziennikiem Bałtyckim
 - PPU Zielen, Gdańsk, Partyzantów 76 www.zielen.pl, tel. 58/341-20-71 do 73**
 - ZDiZ w Sopocie Cmentarz Komunalny, Malczewskiego 31 tel. 58/551-03-50, biuro@cmentarz.sopot.pl**
 - Zarząd Cmentarzy Komunalnych w Gdyni ul. Witomińska 76, tel. 58/660-89-50, www.zck.pl**

 **nekrologi.net**

0011087288

„Życie tych, co zmarli, trwa w pamięci żyjących”

SKŁADAMY PODZIĘKOWANIA

za udział w ceremonii pożegnalnej

Janiny Rojewskiej



Przyjaciołom ze SZŻAK, Okręg Pomorski, Koło Sopot, Marynarce Wojennej i Akademii Marynarki Wojennej jako Patronom SZŻAK Władzom Miasta Sopot koleżankom z CSO oraz dla pracowników Pomorskiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej, znajomym, przyjaciołom, sąsiadom

wdzięczna
Córka z Rodziną



Wspomnienia. Te najważniejsze...

Wspomnij bliskich. Zapal im świeczkę. Sprawdź na nekrologi.net i dziennikbałtycki.pl/nekrologi

AUTOPROMOCJA

Dziennik Bałtycki

Gotuj się na sobotę

W magazynie „Weekend z rodziną” smaczne domowe przepisy **dziennikbałtycki.pl**

Półmaraton w Gdyni sprawi utrudnienia

Paweł Stankiewicz
pawel.stankiewicz@polskapress.pl

Ponad pięć tysięcy osób pojawi się na starcie PKO Półmaratonu Gdynia. Start i meta biegowych zawodów zlokalizowane będą na skwerze Kościuszki.

Uczestnicy zapisani na PKO Gdynia Półmaraton i PKO Gdynia 5K ruszą na trasę około godz. 20.30 z Al. Jana Pawła II, w okolicach ORP Błyskawica. Trasa półmaratonu poprowadzi biegaczy najważniejszymi arteriami miasta: ul. Świętojańską, ul. Chrzanowskiego, ul. Polską, ul. Janka Wiśniewskiego, ul. Jana z Kolna, ul. Władysława IV, ul. Stryjską, ul. Łużycką, ul. Sportową, ul. Olimpijską, al. Zwycięstwa, ul. Obrońców Wybrzeża, ponownie ul. Świętojańską, al. Piłsudskiego i w końcu Bulwarem Nadmorskim z metą przy Al. Jana Pawła II. Większość zawodników do mety dobiegnie już po zmroku, co bez wątpienia przyczyni się do wyjątkowej atmosfery wydarzenia. Organizatorzy przygotowali wyjątkową oprawę dla uczestników rywalizacji.

Harmonogram biegów dziecięcych w ramach Gdynia Półmaratonu 2024 pod nazwą FRUGO Kids Run: dziewczyny i chłopcy 2 - 4 lat: 100 metrów (rocznik 2022 - 2020), dziewczyny i chłopcy 5 - 6 lat: 300 metrów (rocznik 2019 - 2018), dziewczyny i chłopcy 7 - 8 lat: 300 metrów (rocznik 2017 - 2016), dziewczyny i chłopcy 9 - 10 lat: 600 metrów (rocznik 2015 - 2014), dziewczyny i chłopcy 11 - 12 lat: 600 metrów (rocznik 2013 - 2012), dziewczyny i chłopcy 13 - 14 lat: 1000 metrów (rocznik 2011 - 2010). Start do tych biegów w sobotę o godz. 12. W związku z organizacją zawodów wystąpią czasowe utrudnienia komunikacyjne na drogach i zmiany w kursowaniu środków komunikacji miejskiej. Dla bezpieczeństwa biegaczy i kierowców, z ruchu zostaną wyłączone ulice, na których odbywać się będzie rywalizacja. Wzdłuż trasy powieszone zostały żółte tablice z informacjami o wyłączeniach z ruchu poszczególnych dróg. Dystrybuowane będą ulotki informacyjne. Do dyspozycji kierowców oddana zostanie także specjalna infolinia. ©®

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne? Telefonicznie: 800-472-852, 58 300 32 17 i zapłać kartą kredytową
Przez internet: ibo.polskapress.pl
W Biurze Ogłoszeń

Biuro Ogłoszeń:
Gdańsk, Połęże 3, tel. 58/3003 211

Nieruchomości

MIESZKANIA - SPRZEDAM

DWUPOKOJOWE

Sprzedamy korzystnie Państwa nieruchomość! [33-lata doświadczenia]. Zyskacie Państwo: czas - wygodę - bezpieczeństwo. Serdecznie zapraszamy. Hanna!!! 698 914 641 hanna@hanna.pl

MIESZKANIA - WYNAJMĘ

POKÓJ

EMERYTKA szuka pokoju na dłużej. 516-258-453

JEDNOPOKOJOWE

MAM do wynajęcia kawalerkę komfort, centrum Gdyni 606 103 420

INNE

WYNAJMIEMY Państwa nieruchomość - mieszkanie. Serdecznie zapraszamy. Bezpieczna weryfikacja. Jesteśmy do Państwa usług /33 lata/. Hanna!!! 698 914 641 hanna@hanna.pl

DOMY - KUPIĘ

SKUP nieruchomości, również zadłużonych, za gotówkę, 518-878-010

DZIAŁKI, GRUNTY KUPIĘ

GRUNTY ROLNE

KUPIĘ ziemię do 1ha.533-537-682

GARAŻE

GARAŻE blaszane, bramy garażowe, kojce dla psów. Transport, montaż gratis. Raty, www.konstal-garaze.pl, 55/621-23-38, 58/500-53-46, 512-853-323

POŚREDNICTWO

NIERUCHOMOŚCI

Hanna!!!

604 273 151
33-lata doświadczenia

Sprzedamy korzystnie Państwa nieruchomość! Zyskacie Państwo: czas - wygodę - bezpieczeństwo. Zapraszamy. Hanna!!! 698 914 641

Handlowe

MASZYNY URZĄDZENIA

DYMA 8 lub części kupię tel.663736110

KUPIĘ koparko-ladowarkę lub minikoparkę. Tel. 535-480-794.

MATERIAŁY BUDOWLANE

BLACHODACHÓWKI, rynny, trapezy, więźby, okna, folie, 782-488-788

DACHY, rynny- najtaniej, 606-727-885

Motoryzacja

SAMOCCHODY OSOBOWE- KUPIĘ

ABA auta całe, uszkodzone kupię zaniedbane powypadkowe. Najlepiej płacimy, całe pomorskie 514-514-610

Praca

ZATRUDNIĘ

KIEROWCĘ kat. C zatrudnię. Dobre wynagrodzenie miesięczne. Teren pracy Gdańsk. Wymagana: punktualność, rzetelność, bez nałogów, tel. 508-322-193

PRACOWNIKA biurowego - logistyka kierunek transportowy zatrudni firma z Gdańska, tel. 508-322-193

0011069560

 **APN Sentium®**
Opieka z szacunkiem

Wyjedź jako opiekunka na WAKACJE i zarób nawet **2000€**/na m-c na rękę + extra premia!

+48 500 401 901

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

A do Z awarie dach, blachy, kominy, papy, rynny, malowanie, 517-744-487

CYKLINOWANIE bezpyłowe 504641458

Sufity Podwieszane: Napinane, Kasetonowe, Rastrowe, Gipsowe, Ścianki Gipsowe "Sufitex" 604-944-094, 58-558-25-65 www.sufitex.pl

ŻALUZJE. Rolety 501-005-692

KOMPUTEROWE

Laptopy, Komputery SERWIS Tanio, Dojazd, tel. 505-558-579

NAPRAWA drukarek, notebooków, laptopów, monitorów, UPS-ów, faxów, zasilaczy, niszczarek, Pruszcz Gdański, (58)683-04-04, 501-785-500

Turystyka

KRAJ

GÓRY

Beskidy, turnus 20% dofi dla emer. /rent., super wyżywienie, miodowyraj.pl 501-642-492.

MORZA

CHŁAPOWO k. Władysławowa - "U Żwirka" pokoje z łazienkami, aneks kuchenny, plac zabaw, parking, ogród, (58)674-23-95, 608-171-428, 793-871-505

DANA - USTRONIE MORSKIE wczasy, maj-czerwiec - doba z wyż. od 125 zł, 601-585-510 www.danaustronie.pl

DZWIRZYNOMORZE.PL, 605-905-969

KOŁOBRZEG blisko morza! 511337308

ŁEBA - tanie pokoje z łaz. 603-471-715.

ŁEBA- pokoje z łazienk., 606-687-996.

Rolnicze

ZWIERZĘTA HODOWLANE

SPRZEDAM kurki kokoszki (brojlera) odchowane, 10- 20 tyg, kaczki i perliczki. Dowóz gratis. Zbieram zapisy. Tel. 728-104-188.

Zwierzęta

INNE

MARZENA Szczodrowska Ferma drobiu Mechowo koło Pucka. Kury odchowane rasy Rossa, 58-675-59-17, 604-356-080

Matrymonialne

BIURO "Serduszka Dwa" 883-783-782

Różne

STARE książki - skup 881-934-948

ŻUŻEL GRAND PRIX NIEMIEC BĘDZIE SZANSĄ DLA BARTOSZA ZMARZLIKA NA REWANŻ ZA ZAWODY W POLSCE

Zmarzlik powalczy w Niemczech

Filipp Bares

redakcja@polskaiexpress.pl

Już w tę sobotę odbędzie się 3. runda żużlowych mistrzostw świata. Po zawodach w Warszawie nadszła pora na Grand Prix Niemiec w Landshut.

Przed tygodniem na PGE Narodowym odbyła się 2. runda mistrzostw świata, w których zwyciężył Australijczyk Jason Doyle. 38-latek tym samym przedłużył passę zawodników z krainy kangurów, bowiem w inauguracyjnym Grand Prix Chorwacji w Gorican wygrał jego rodak Jack Holder.

Drugie miejsce zajął Bartosz Zmarzlik, ale dla publiczności zgromadzonej w Warszawie był to zawód. Były to ósme zawody z cyklu Grand Prix na PGE Narodowym i jeszcze nigdy nie udało się tu wygrać Polakowi. Rok temu w drodze po swój czwarty tytuł mistrza świata Zmarzlik był w stolicy Polski trzeci. Z kolei w inauguracyjnym Grand Prix w Gorican zajął czwarte miejsce.

- Plan wykonałem. Fajnie tu być drugi raz w finale, przy tej publiczności. Muszę prosić o cierpliwość polskich kibiców. Przed rokiem byłem trzeci, teraz drugi i tak krok po kroku wspinałem się coraz wyżej. Zobaczmy za rok - powiedział po zawodach Zmarzlik.

Dzięki zwycięstwu na PGE Narodowym Doyle objął prowadzenie w klasyfikacji generalnej mistrzostw świata, z 38 punktami na koncie. Dla Australijczyka była to pierwsza wygrana w cyklu Grand Prix od siedmiu lat.

- To mój wielki sukces blisko siedem lat po ostatnim zwycięstwie w Grand Prix. Nie młodnieję, ale cały czas mam w głowie, że mogę być najlepszy i to zwycięstwo w Warszawie mnie w tym utwierdziło. Będę musiał przypomnieć sobie słowa australijskiego hymnu, bo przez te wszystkie lata słuchałem głównie polskiego - zażartował Doyle.

Drugie miejsce - ex aequo zajmują - Holder i Zmarzlik, którzy mają po 32 punkty. Z Polaków w tym sezonie punktowali jesz-



FOT. PAVEŁ RELIKOWSKI

Nasz Bartosz Zmarzlik wygrał już Grand Prix Niemiec w ubiegłym roku. Czy w najbliższy weekend powtórzy ten wyczyn? Na to zapewne liczą polscy kibice

cze Szymon Woźniak (16 punktów, 9. miejsce), Dominik Kubera (11 punktów, 12. miejsce) i Mateusz Cierniak (3 punkty, 16. miejsce). Dla Cierniaka zawody w Polsce były debiutem w cyklu Grand Prix.

- Nic od siebie nie oczekiwałem, to po pierwsze. Jestem zadowolony, że skończyło się to w sposób wymarzony, czyli zwycięstwem w wyścigu. Wcześniejsza jazda w testach toru pomogła mi w tym, że nie

bałem się startu na tak małym torze. Grand Prix pokazało, że małe różnice robią duże różnice.

- W dużym, „dorosłym” żużlu nawet stopień zapłonu ma znaczenie. Coraz częściej to so-

bie uświadamiam - powiedział Cierniak w rozmowie ze speedwayekstraliga.pl.

Inauguracyjne Grand Prix Niemiec odbyło się w 1995 roku, ale cztery lata później te zawody zastąpiła druga runda Grand Prix Polski. W 2001 roku podjęto próbę reaktywacji GP u naszych zachodnich sąsiadów (wygrana Tomasza Golloba), ale na kolejną trzeba było czekać do 2007 roku, a rok później zawody ponownie przeniesiono.

Grand Prix Niemiec wróciło na dobre do kalendarza żużlowego w 2016 roku, gdy odbywało się w miejscowości Teterow. Przez pandemię COVID-19 odwołano wyścigi w 2020 i 2021 roku. Tor w Teterowie sprzyjał Polakom, a szczególnie Zmarzlikowi, który już w 2016 roku zajął tam drugie miejsce. Dwa lata później dojechał na trzeciej pozycji, ale to był dopiero początek dominacji Białych-Czerwonych. Kolejne trzy edycje wygrywali właśnie Polacy - Maciej Janowski (2019), Patryk Dudek (2022) i Zmarzlik (2023).

Piłkarskie Orły: Biliński wrócił bez pamiętki

Tomasz Kuczyński

t.kuczynski@dz.com.pl

PIŁKA NOŻNA. Kamil Biliński z Zagłębia Sosnowiec wspomina swoje strzeleckie wyczyny na polskich i zagranicznych stadionach.

36-letni „Bila” wygrał kwietniową edycję naszego rankingu Piłkarskie Orły 2024 roku najlepszych strzelców ligowych województwa śląskiego. Na jego wynik złożyły się cztery gole w wyjazdowych spotkaniach Fortuna 1. Ligi - trzy z Polonią Warszawa (3:3) i jeden z Bruk-Bet Termaliką Nieciecza (1:1).

Zdegradowane do II ligi Zagłębie śrubuje swój rekord bez zwycięstwa, który liczy już 24 mecze z rzędu. W 28. kolejce sosnowiczanie prowadzili z Polonią w Warszawie 3:1, ale nie zgarnęli kompletu punktów. Hat

trick Bilińskiego miał więc słodko-gorzki smak.

- Strzelając trzy bramki na wyjeździe i nie wygrywając meczu, to jest to niezrozumiała sytuacja. Na pewno nie było to takie szczęście, tym bardziej że liczyliśmy na przełamanie w tamtym meczu, niestety, też się nie udało. Nie do końca więc smak tego hat tricka był stuprocentowy - przyznaje napastnik Zagłębia, który ma specyficzne wspomnienie związane z meczem na stadionie „Czarnych Koszul”. - Z tym hat trickiem wiąże się ciekawostka. Działacze czy ludzie związani z Polonią Warszawa nie pozwolili zabrać mi na pamiątkę piłki po meczu - to śmieszna, kuriozalna sprawa. Mogło to wynikać z tego, że Polonia Warszawa nie darzy się sympatią z Legią, a Legia sympatyzuje z Zagłębiem Sosnowiec. Myślę, że były z tym



FOT. KARINA TROJOK

Kamil Biliński w Ekstraklasie rozegrał 127 meczów i zdobył 33 bramki. W kończącym się sezonie I ligi ma 7 trafień

związane te animozje. Nawet się śmiałem, że jestem w stanie wam zapłacić za tę piłkę, jeżeli nie chcecie jej dać. Gdyby to był Cristiano Ronaldo, to nawet byście się nie zastanawiali... Trudno, było, minęło. Ja zrobi-

łem swoje i tylko szkoda, że te bramki nie dały nam zwycięstwa - mówi Biliński.

„Bila” strzelał nawet po cztery bramki - w Pucharze Litwy i w Pucharze Łotwy występując w Żalgirisie Wilno i FC

Ryga. Ligowe hat tricki zaliczył jeszcze w 2014 roku w rumuńskim Dinamo Bukareszt w meczu z Otelulem Galati (4:0), w 2017 w Śląsku Wrocław z Ruchem Chorzów w Ekstraklasie (6:0) i w 2021 w Podbeskidziu Bielsko-Biała z Widzewem Łódź (4:0) w I lidze, której był wtedy królem strzelców.

- Na równi postawiłbym hat tricki z Ruchem oraz w meczu z Widzewem, w którym pokonał w tedy lidera i zespół, który awansował później do Ekstraklasy. Przed tamtym meczem jeszcze odebrałem nagrodę dla najlepszego zawodnika miesiąca. Wszystko fajnie się ułożyło - wygraliśmy, a ja dołożyłem trzy bramki i asystę. W Śląsku w tamtym momencie mieliśmy słabszy moment, potrzebowaliśmy takiego zwycięstwa. Udało nam się fajnie zagrać, rozegrać świetny mecz,

a mnie dołożyć solidną cegielkę do tego zwycięstwa i tak naprawdę - utrzymania. Złapałem fajną formę strzelecką, strzeliłem w ciągu paru meczów kilka goli i finalnie przyłożyłem się do utrzymania klubu w Ekstraklasie - wspomina.

Trzy bramki w meczu w barwach Dinamo były klasycznym hat trickiem i w dodatku wiązały się z miłym wspomnieniem dla Bilińskiego.

- Mój starszy syn był wtedy pierwszy raz na meczu, jako kilkumiesięczny dzieciak, wraz z moją żoną. Ja pierwszy raz byłem z nim na stadionie i akurat wtedy udało mi się strzelić trzy bramki. Oczywiście, to są piękne wspomnienia dla napastnika. Strzelanie bramek, a tym bardziej 2-3, to jest piękna sprawa, a jeszcze jak zespół wygrywa, to są bardzo pozytywne emocje - ocenia zawodnik Zagłębia. ©©



RANKING



Piłkarskie
ORŁY '24

PATRONAT
HONOROWY



Ministerstwo
Sportu i Turystyki

PARTNER
MERYTORYCZNY



SPORT

www.sportowy24.pl

PIŁKA NOŻNA

Chojniczanka Chojnice i Radunia Stężyca powalczą o punkty w drugiej lidze.

Pomorskie zespoły piłkarskie czekają kolejne mecze w ramach drugiej ligi. Chojniczanka zajmuje ostatnie miejsce w strefie barażowej o awans do Fortuny 1. Ligi i musi uważać, aby go nie stracić.

W przedostatniej kolejce drugoligowego sezonu podopieczni trenera Krzysztofa Bredego zagrają na wyjeździe bardzo trudny mecz, bo z liderującą w tabeli Pogonią Siedlce. To spotkanie odbę-

dzie się w sobotę o godzinie 12.45. Radunia Stężyca zmierzy się u siebie ze Stalą Stalowa Wola. To spotkanie rozpocznie się w piątek o godz. 16. (stan)

PIŁKA NOŻNA

Kto sędziować będzie derby Trójmiasta w Gdańsku?

Mecz pomiędzy Lechią Gdańsk i Arką Gdynia (niedziela, godz. 20.30) sędziować będzie Tomasz Kwiatkowski z Warszawy. (stan)

Lechia i Arka chcą wygrać derby!

Paweł Stankiewicz
pawel.stankiewicz@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Lechia Gdańsk kontra Arka Gdynia. Już w niedzielę, na Polsacie Plus Arenie w Letnicy, wielkie derby Trójmiasta.

Blisko 37 tysięcy widzów będzie oglądać z trybun mecz Lechii Gdańsk z Arką Gdynia. Dla szkoleniowca biało-zielonych to będzie wyjątkowe wydarzenie.

- Dla mnie to będzie niezwykła przyjemność. Super, że ten rekord frekwencji będzie w meczu u siebie. I to w meczu o mistrzostwo ligi i do tego w derbach. Będzie bardzo dużo smaczków, ale najważniejszy jest końcowy sukces, który możemy osiągnąć na jedną kolejkę przed zakończeniem sezonu - powiedział Szymon Grabowski, trener Lechii.

Przed jesiennym meczem w Gdyni, to Lechia miała problemy kadrowe, bo nie mogli zagrać Luis Fernandez, Conrado, Iwan Żelizko i Tomasz Neugebauer. Teraz to Arka ma problem, bo na stadionie Polsat Plus Arena w Gdańsku zabraknie Janusza Gola i Dawida Gojnego.

- Taki jest sport i piłka nożna. Jesteśmy już w takim okresie sezonu, że pojawiają się kontuzje i pauzy za kartki. Nas to jednak wpływu nie mamy. Mam tylko nadzieję, że nie spadnie śnieg i mecz odbędzie się w dobrych warunkach - śmieje się trener Grabowski, przypominając że śnieg padał



Szymon Grabowski przyznaje, że w drużynie Lechii jest pewność siebie przed derbami Trójmiasta

właśnie podczas ubiegłorocznego meczu w Gdyni. - Chcemy wygrać i sprawić dużo radości naszym kibicom, bo zasługują na to. Lechia była najlepsza na boisku, a oni na trybunach. Niech niedziela będzie naszym świętem.

Szkoleniowiec cieszy się, że będzie miał większy wybór w ataku. W ostatnich dwóch meczach tym najbardziej wysuniętym napastnikiem był Kacper Sezonienko, a teraz rywalizacja się zwiększy.

- Tomasz Bobcek i Łukasz Zjawieński w środę trenowali normalnie. Mam nadzieję, że już tak zostanie i będę miał w niedzielę ból głowy, na kogo postawić - przyznał trener Lechii.

Jak może wyglądać niedzielny mecz?

- Jeżeli zagramy tak, jak w Krakowie, to wszystkie klocki ułożą się w ten sposób, jakbyśmy sobie tego życzyli. Z całym szacunkiem dla Arki i wiedząc, że to najlepszy zespół, który do nas przyjedzie, to głównie skupiamy się na dobie. Doszliśmy do tego, że gramy mecz derbowy i jesteśmy dobrze przygotowani oraz pewni siebie. To rewelacyjny scenariusz, że możemy się pożegnać z kibicami w meczu derbowym i przy komplecie publiczności. Nie musimy zawodników specjalnie motywować na to spotkanie. Na odprawie pomocowej powiedzieliśmy dwa słowa



Wojciech Łobodziński, szkoleniowiec Arki, chce wygrać w Gdańsku i zapewnić z zespołem awans do Ekstraklasy

o motywacji, ale nie idziemy w tym kierunku - zakończył trener Grabowski.

Arka Gdynia nie chce oglądać się na wynik meczu GKS Katowice - Wisła Kraków. Sztab szkoleniowy i piłkarze chcą wygrać na Polsacie Plus Arenie i w ten sposób sami trafić do krajowej elity. Jeśli Wisła nie przegra w Katowicach, to żółto-niebiescy będą mogli się cieszyć z awansu do PKO Ekstraklasy. Trener zapewnia, że wynik z Katowic nie będzie miał znaczenia na podejście Arki do meczu z Lechią, na taktykę oraz wybory personalne.

- Patrzymy tylko na siebie i jedziemy do Gdańska, żeby wygrać mecz i awansować

do PKO Ekstraklasy. Taktyka jest już przygotowana, a skład wybrany. Jesteśmy nauczani sytuacją z ostatniego tygodnia i nie chcemy liczyć na kogoś. Jak sami nie wypracujemy sobie awansu, to nikt nam nie pomoże. Szykuję drużynę do tego, żebyśmy awans zapewnili sobie w niedzielę. Koncentrujemy się wyłącznie na meczu z Lechią i nie będzie wspólnego oglądania spotkania GKS-u Katowice z Wisłą - zdradza Wojciech Łobodziński, trener zespołu z Gdyni.

Szkoleniowiec żółto-niebieskich docenia zespół Lechii, ale wierzy w swój zespół i w to, że może wygrać derby Trójmiasta na Polsacie Plus Arenie. W dru-

żynie bardzo dobrze pamiętają jesienny mecz, który zespół z Gdyni wygrał 1:0.

- Byłem w Gdańsku na dwóch meczach Lechii. Co zobaczyłem? Na pewno jakość. Lechia dojrzewała w trakcie sezonu i dziś to już jest inna drużyna niż podczas pierwszego meczu z nami. Mimo, że faworytem wydaje się być Lechia, to moim zdaniem, to będzie wyrównany mecz. Do tego meczu musimy podejść kompleksowo, bo rywal gra w sposób zróżnicowany. Jeśli skupimy się tylko na jednym elemencie, to możemy mieć problemy. Musimy utrzymać koncentrację i jestem przekonany, że sobie poradzimy. Jesteśmy gotowi, żeby grać w Ekstraklasie - zapowiedział Łobodziński.

Swoje miłe i gorsze wspomnienia z derbów ma obrońca Arki, Michał Marcjanik. To jego gol z karnego dał drużynie zwycięstwo w jesiennym meczu w Gdyni. Z drugiej strony, jeszcze w Ekstraklasie, był autorem bramki samobójczej na stadionie w Gdańsku.

- W Gdańsku to było pechowe zagranie, które dało bramkę Lechii. W Gdyni odczuć zupełnie inne, bo ta bramka dała nam trzy punkty i ogromną radość. Spodziewam się trudnego meczu derbowego i na taki musimy być gotowi. Sprawę naszego awansu musimy zamknąć w niedzielę - powiedział Marcjanik.

Mecz Lechii z Arką rozpocznie się w niedzielę o godzinie 20.30. Transmisja w Polsacie Sport 1. ©

Polscy kibice opanowali Ostrawę

Jacek Sroka, Ostrawa
j.sroka@dz.com.pl

Reprezentacja Polski po raz pierwszy od 22 lat gra w mistrzostwach świata elity, a na odbywający się w Czechach turniej przyjeżdżają tysiące fanów Biało-Czerwonych.

Dla polskich kibiców hokeja MŚ elity odbywające się tuż naszą południową okazją są świetną okazją do zobaczenia tego historycznego dla Biało-Czerwonych turnieju. W dniu meczów kadry trenera Roberta Kalabera

do Ostrawy przyjeżdża po parę tysięcy fanów ubranych w koszulki lub szaliki w narodowych barwach.

Kibice z Polski pojawiają się w oddalonej o 25 km od granicy dzielnicy Vitkovice zwykle już kilka godzin przed rozpoczęciem naszego spotkania spędzając czas w położonej tuż obok lodowiska fanzone. Na ustawionym w niej ogromnym telebimie oglądają rozgrywane wcześniej mecze MŚ z Ostrawy lub Pragi, a także raczą się czeskim piwem, choć to nie jest tanie i kosztuje 110 koron, a więc 19 zł za półli-

trowy kubek. Na miejscu można też przekąsić pizzę lub hamburgera, których najtańsze wersje są za 250 koron.

Sporym zainteresowaniem cieszy się miasteczko Skody oferujące sporo darmowych atrakcji, głównie dla dzieci, oraz oficjalny fanshop mistrzostw, w którym można zaopatrzyć się w pamiątkowe gadżety i koszulki. Największe wzięcie mają krążki z logo czeskich MŚ w cenie 290 koron. Tyle samo kosztują smycze czy breloczki. Wersję krążka z otwieraczem wyceniono na 550 koron. Czapeczki

i szaliki można kupić za 690 lub 790 koron, a maskotki Bob i Bobek z kijami hokejowymi za 790. Tyle samo kosztują t-shirty dla dzieci z logo turnieju (dla dorosłych - 1590). Bluzy wyceniono odpowiednio na 1290 i 1590 koron, a za repliki koszulek hokejowych reprezentacji grających w MŚ trzeba zapłacić 2490 koron.

Przed rozpoczęciem meczu fani przenoszą się na trybuny Ostravar Areny mogącej pomieścić ponad 9 tys. widzów. Atmosfera podczas spotkań jest fantastyczna. Po golach strzelanych

przez Polaków na lodowisku słychać stary przebój „Mój jest ten kawałek podłogi”. W przerwach w grze widzowie bawią się w rytm największych światowych hitów puszcanych przez DJ-a, a do tanecznych popisów zachęcają sympatyków hokeja piękne hostessy krążące po sektorach. Z fanami podrygują też maskotki turnieju - króliki Bob i Bobek, a najbardziej ekspresyjnie zachowujący się kibice pokazywani są na zbliżeniach na telebimie ułożonym nad taflą lodowiska.

Po meczach kibice zaglądają jeszcze zwykle na ulicę Stodolní będącą najbardziej rozrywkową częścią Ostrawy i pierwowzorem katowickiej Mariackiej. Tu w kza-

dej knajpie można oglądać spotkania hokejowych MŚ lub ich powtórki, a pivo jest znacznie tańsze niż w fanzone. W pchnięcie turnieju mocno włączył się Kaufland będący jednym z partnerów MŚ i w ich trakcie pracownicy jego marketów są ubrani w koszulki reprezentacji Czech.

Polacy na razie w MŚ przegrywają, ale ich waleczną postawę docenia Mariusz Czerkawski.

- Chłopaki zostawiają serce na lodzie. Inie tylko serce. Pokazują wysokie umiejętności. Myślę, że to dla nich wielkie marzenie, by zostawić po sobie ślad w historii - chwalił kadrowiczów po pierwszych meczach MŚ nasz najlepszy hokeista w historii. ©